



..... Rok 17 nr 4 (108) • maj-czerwiec 2021

Korniszon

Miezależny Miesięcznik Młodzieży w Każdym Wieku

MŁODZIEŻOWY DOM KULTURY „OCHOTA”

02-348 Warszawa, ul. Rokosowska 10, tel. 22 822 28 95

www.mdkochota.edu.pl, poczta redakcyjna: korniszon007@wp.pl



Numer wydany przy współpracy Oddziału PTZN w Warszawie i Centrum Handlowego Blue City

Jakiś czas temu miałam okazję przez blisko miesiąc przebywać w sanatorium na Mierzei Wiślanej. Był przełom marca i kwietnia, pora przedwiosenna i sztormowa, niekończące się puste i bezładne plaże zapraszały do długich spacerów brzegiem morza. Trochę bardziej ludnie robiło się na plaży tylko po sztormach, kiedy to mniej czy bardziej tłumnie wylegali i pracowicie dłubali w piasku poszukiwacze bursztynów. Któregoś dnia, zdążając tradycyjnie wczesnym rankiem nad morze, spotkałam wracającą grupkę współkuracjuszy, którzy widać wybrali się tam byli już o świcie. Widząc mnie, już z daleka zaczęli pokrzykiwać: „Nie ma po co iść, nic tam nie ma!” Ostępiałam. Jak to, nic nie ma? Morze ukradli? Plaża zginęła? Dopiero po chwili dotarło do mnie, że mieli na myśli bursztyny, że polecili nad morze tak wcześnie, żeby wyprzedzić ewentualnych innych zbieraczy. I kiedy chodziłam sama brzegiem, oddychając słonym wiatrem, słuchając codziennego koncertu fal i pokrzykiwania mew, śmiałam się w duchu z tego „nic tam nie ma”. Ale tylko przez chwilę się śmiałam, bo zaraz potem zrobiło mi się jakoś smutno. Bo dopadła mnie taka gorzka refleksja, która od tamtego czasu często do mnie powraca. Jak bardzo nasz, ludzi, stosunek do świata jest konsumpcyjnie interesowny. Chodzimy czy jeździmy nie na spotkanie z przyrodą, z pięknem, zapachami, widokami, przestrzenią, ale na bursztyny, na grzyby, na jagody, na ryby... Niedawno znajomy pochwalił się na Facebooku zdjęciem pierwszego znalezionego w tym roku grzyba. Posypały się komentarze w stylu: „O, to znaczy, że już można iść do lasu!”... To znaczy, że jak nie ma grzybów, to nie można? Nie ma po co? Że jeśli nie ma czegoś, co człowiek może z tego lasu (znad morza, z jeziora czy rzeki) wynieść i skosztować, to NIC TAM NIE MA?... Życzę czytelnikom „Korniszona” i nam wszystkim, żebyśmy w wakacyjnym czasie zdołali – i zechcieli! – dostrzegać to co JEST wokół. Żeby kontakt z naturą, z zielonością, wodą, powietrzem, bezkresami wszelakimi stał się dla nas źródłem inspiracji, harmonii, wewnętrznej pogody i spokoju, żeby przepędził wszystkie niepokoje, lęki i frustracje mijającego roku szkolnego, tego dziwnego i trudnego roku. Żebyśmy powrócili z naładowanymi bateriami, z błękitem w oczach, wiatrem we włosach, słońcem w sercu. Tak nam dopomóż Świecie, któryś JEST.

Redaktor naczelna Anna Szwed

W tym numerze m. in.:

Wywiad z panem Tomohem Umedą	2,3
NEON - CHALLENGE – Ochocki Zieleniak	4
Wiosenne aktualności – konkursy	6
„Wakacje razem” w BLUE CITY.....	7
W stronę wartości – Wolontariusze z SP 264....	8
Korniszon w strefie EKO – UPCYKLING	9
Kiszsonka coolturałna	11,12
– kino, książki, muzyka	13
Co to jest DEEFAKE?.....	14
Dzień Dziecka w MDK „Ochota”	16

ZŁOTA MYŚL NUMERU:

Jeśli chcesz poczuć boskość,
poczuj wiatr na twarzy
i ciepłe słońce na dłoni.
Mędrzec O’Guru (Budda)

Fot. Joanna Karpińska



JESTEM WARSZAWIAKIEM Z KRWI I KOŚCI - ciąg dalszy wywiadu z panem Tomohem Umedą

W pierwszej części wywiadu nasz gość rozpoczął opowieść o swoim dziadku, dzięki któremu japońska rodzina osiedliła się w Polsce i związała z nią swoje losy. Zostawiliśmy dziadka - młodego mnicha buddyjskiego - na pokładzie statku, którym w 1922 roku przez 3 miesiące płynął z Jokohamy do Marsylii (skąd miał się potem udać do Berlina) i na którym zaprzyjaźnił się z grupą swoich rówieśników Polaków, dzieci zesłańców, powracających do ojczyzny po niedawnym odzyskaniu przez nią niepodległości. Przed wami ciąg dalszy tej fascynującej opowieści.

Tomoho Umeda: Wśród poznanych na statku polskich przyjaciół mojego dziadka największym był Stanisław Michowski, o którym jeszcze później opowiem. Jak powiedziałem, dziadek płynął do Berlina, ale chłopaki przekonywali go: „Stary, co tam do jakiegoś Berlina, dawaj do nas, do Warszawy. My tu odzyskaliśmy niepodległość, wszystko będzie pięknie i wspaniale.” I dziadek już się łamał, ale jako obowiązkowy Japończyk jednak do tego Berlina z Marsylii pojechał. Ale, wiecie, Berlin w 1922 roku, tuż po przegranej I wojnie światowej, to nie było wcale fajne miejsce. Później pojawił się Hitler, było strasznie, dolar kosztował 4 miliony marek, ludzie umierali z głodu na ulicach. Dziadek więc natychmiast postanowił pojechać do Warszawy. Jego przyjaciele mieszkali przy ulicy Okopowej, piętro nad Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim. Dziadek też tam zamieszkał i zaczął studiować filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Mnich buddyjski w latach dwudziestych w Warszawie to była taka atrakcja towarzyska, że wszyscy arystokraci, damy, profesorowie, aktywiści społeczni, artyści chcieli się z nim poznać, więc od razu wpadł w śmietankę towarzyską. Bo w tamtych czasach poznać mnicha buddyjskiego to jakby świętego za nogi złapać, wówczas wszystko, co związane ze Wschodem, było modne. Po 3 latach pobytu dziadka w Polsce zdarzyła się rzecz nieprzewidziana – w Tokio było straszliwe trzęsienie ziemi, ogromne pożary i całkowicie zniknął z powierzchni ziemi Uniwersytet Buddyjski, którego odbudowa trwała zresztą później wiele lat. To oznaczało, że dziadkowi skończyło się stypendium, więc nie miał za co żyć, w związku z czym jego przyjaciele uradzili, że na UW założą japonistykę, gdzie on będzie pierwszym wykładowcą. I ta japonistyka, założona specjalnie dla mojego dziadka, istnieje do dziś. I tak sobie tutaj żył, w takim, można by powiedzieć, bajkowym świecie, w którym ciągle był obiektem zainteresowania. Jednocześnie zajął się tłumaczeniem literatury polskiej na japoński. Przełożył *Quo vadis* i wiele innych pozycji. Niestety, przyszedł 1939 rok, rozpoczęła się II wojna światowa, a Japonia była wówczas po drugiej stronie barykady, w sojuszu z hitlerowskimi Niemcami i Włochami, czyli automatycznie stanęliśmy w obliczu konfliktu. Ciekawy jest fakt, że jedynym krajem w historii Polski, któremu oficjalnie wystosowano list z wypowiedzeniem wojny, była właśnie Japonia. Odpowiedź Japonii była mniej więcej „No weźcie się nie wygłupiajcie” [śmiech w redakcji], tak więc Polska wypowiedziała wojnę Japonii, która tego wypowiedzenia nie przyjęła, niemniej jednak mój dziadek we wrześniu 1939 musiał się z Polski ewakuować. Wyjechał na Bałkany, przez całą wojnę był korespondentem wojennym dla jednego z dzienników japońskich. Jest też podejrzenie, że działał również jako łącznik pomiędzy AK a japońskim wywiadem. Pomimo że Japonia i Polska były oficjalnie po dwóch stronach barykady, to jednak istniała wówczas intensywna współpraca wywiadowcza – oba kraje miały bowiem także wspólnego wroga, czyli Związek Radziecki. Jest wiele materiałów na to, że dziadek był posądzany o przekazywanie tajnych informacji. Był obserwowany przez bułgarskie służby bezpieczeństwa, zachowały się dokumenty, protokoły ze śledztw, co

robił, gdzie szedł, co jadł, z kim się spotykał. Tak więc po wojnie nie mógł już wrócić do Polski, bo w komunistycznym kraju był zdefiniowany jako szpieg. A ów Stanisław Michowski, o którym wspominałem, który z 20-letniego młodzieńca, zmienił się w bardzo ważnego pilota Lotnictwa Wojskowego i był bohaterem wojennym, został rozstrzelany przez komunistyczny reżim w Polsce m.in. za to, że znalazłono u niego w domu listy, w których rozmawiał z moim dziadkiem, z którym byli bardzo bliskimi przyjaciółmi. Tak że możecie sobie wyobrazić, jak trudne to były czasy i jakie ofiary ludzie musieli ponosić, właściwie nie wiadomo po co. Jak dziadek wrócił już do Japonii po wojnie, tam z kolei stworzono dla niego na Uniwersytecie Tokijskim studia polonistyczne, gdzie wykładał japonistykę. I zmarł w 1961 roku, ale kiedy umierał, jego ostatnią wolą było (a to w Japonii jest święta sprawa, a dziadek cały czas był



mnichem buddyjskim, przypominam, miał swoją świątynię, którą się opiekował w Tokio, ta świątynia zresztą istnieje do dzisiaj) żeby jego pierwotny syn (miał ich dwóch) pojechał do Polski i kontynuował jego dzieło zbliżania do siebie tych dwóch narodów. Mój tata miał wtedy lat 13. I wyobraźcie sobie taką sytuację: w 1963 r. moja japońska babcia wsadza mojego tatę do samolotu - trochę to było tak, jakby wysłała go na Marsa. W 63 roku, kiedy nie było Internetu ani telewizji za bardzo, ta odległość kulturowa i zupełny brak wyobrażenia co tam jest po drugiej stronie globu był daleko większy niż możemy to sobie wyobrazić. I tak mój tata jako 13-letni chłopiec przyleciał tutaj. Miał pod pachą prochy swojego taty, a konkretnie ich połowę, ponieważ dziadek zażyczył sobie, żeby jedna połowa była pochowana tam, a druga tutaj. Tak zresztą jest, na Powązkach Wojskowych leży połowa mojego dziadka [śmiech]. A zanim jeszcze mój dziadek umarł, korespondował ze swoim przyjacielem, jednym z najważniejszych polskich archeologów, Konradem Jażdżewskim z Łodzi. I stwierdzili, że skoro ten ma już w domu pięcioro dzieci, to jak będzie miał jeszcze małego Japończyka, nie zauważy różnicy. I rzeczywiście mój tata wylądował w Łodzi, w domu Konrada Jażdżewskiego. A parę

lat później moja babcia wyszła ponownie za mąż, za studenta mojego dziadka, który również wykładał polonistykę. I przyjechali do Polski w 68 r. i byli tu 7 lat. W tym czasie mój tata zdał maturę, przeprowadził się do Warszawy na studia. Już jako tako nauczył się polskiego, bo przyjechał tutaj z zerową znajomością języka i bardzo szczącową znajomością angielskiego. Także było to trudne, ale jakimś cudem zdał maturę. Dostał się na historię sztuki na UW, a ponieważ moja babcia i jej mąż wykładali tam na japonistykę, to tak tata poznał mamę, która wtedy właśnie na tym kierunku studiowała. I to jest ważne, że się poznali. Moja mama pochodzi z artystycznej rodziny Żuławskich, mój polski dziadek, Juliusz Żuławski, był pisarzem, prezesem Pen Clubu, jednym z twórców „Kuźnicy”. Działał bardzo mocno politycznie i to właśnie dziadek zaczął kształtować mojego tatę w taki sposób, że później, kiedy powstał KOR – Komitet Obrony Robotników, tata się w to zaangażował, a później, gdy powstawała Solidarność, był już zaangażowany bardzo mocno. Organizował pierwszy zjazd i kiedy powstała Solidarność był jedynym obcokrajowcem w zarządzie. Jako jedyny nie miał polskiego paszportu i wraz z Krzysztofem Śliwińskim był odpowiedzialny za relacje zagraniczne Solidarności. Te czasy akurat pamiętam, bo wtedy gdy to się wszystko zaczynało miałem 6-7 lat. Potem przyszedł stan wojenny w 81 r. i mój tata, ponieważ nie mógł być aresztowany i internowany ze względu na to, że miał paszport japoński, a nie można tak po prostu uwięzić obcokrajowca, został po prostu deportowany, czyli wyrzucony z Polski. I rzeczywiście żyliśmy osobno do 89 r., tata mógł do nas wrócić dopiero po Okrągłym Stole, a przez te 9 lat mieszkał w Japonii i jeździł po Europie. A my z mamą i siostrą zostaliśmy w Polsce, z własnego wyboru, bo też mogliśmy się wynieść, ale postanowiliśmy, że jesteście stąd, żyjemy tutaj i tak ławo nas generał Kiszczak nie wystawi za drzwi. Także zostaliśmy i czekaliśmy aż to się wszystko skończy, co nie było przecież oczywiste. Tak więc te wielkie zmiany po 89 roku były też dla mnie osobiście ważne, bo dzięki nim odzyskałem tatę. Później były czasy „odbudowywania” Polski. Mój tata był trochę rozczarowany, że w nowym rozdaniu nie przewidziano dla niego miejsca, chociaż tyle zrobił dla Solidarności, działał bardzo mocno na jej rzecz także w czasie, kiedy był deportowany - zbierał w Japonii bardzo duże pieniądze na to, by Solidarność mogła funkcjonować w podziemiu, przesyłał do Polski kalki stensilowe, czyli materiały, dzięki którym można było drukować wszystkie te podziemne czasopisma i generalnie był szalenie aktywny przez cały ten czas. Był zresztą po wprowadzeniu stanu wojennego pierwszym przedstawicielem Solidarności, który spotkał się z papieżem Janem Pawłem - zaskakujące, że akurat Japończyk się z nim spotkał jako przedstawiciel Solidarności, żeby mu zdać relację z tego co się wydarzyło w Polsce. No i w związku z tym wszystkim kiedy wrócił, był rozczarowany i zajął się biznesem, energią odnawialną, o której jeszcze wtedy, w latach 90, w zasadzie nikomu się nie śniło. No i zmarł w 2012 roku, rzeczywiście nie za bardzo lubił dbać o swoje zdrowie, bo był zawsze bardzo zaangażowany w różne sprawy,

miał tą swoją firmę, zajmującą się energetyką. Ja teraz ją przejąłem i kontynuuję jego pracę. A, jeszcze taka zabawna ciekawostka w temacie przewożenia prochów wte i wewte. Jak mój tata umarł, poczułem się w obowiązku, żeby połowę jego prochów przewieźć do Japonii. Okazało się jednak, że jest to trudne, ponieważ nie wolno tego robić według polskiego prawa. Według japońskiego prawa nie ma z tym problemu. No, ale takie są właśnie różne historie, a takich historii wokół tej całej opowieści są dziesiątki albo i setki. Przyniosłem książkę Anny Nasiłowskiej o moim tacie. To jest ostatni egzemplarz jaki mam, ale ją wam zostawię, jeżeli chcecie.

Redakcja: Chcemy!

Tomoho Umeda: Tytuł tej książki - „Wolny agent Umeda i druga Japonia” - też nawiązuje do kolejnej historii. Druga Japonia dlatego, że to mój tata zawiózł Lecha Wałęsę w 1980 roku do Japonii i właśnie za inspiracją mojego taty Wałęsa powiedział, że Polska będzie drugą Japonią. Ta słynna fraza Wałęsy mocno się zagnieżdżyła w polskim języku i świadomości. Nie chcę was dłużej zanudzać [protesty w redakcji], więc tak już na podsumowanie taka jedna myśl, w nawiązaniu do tego co powiedziałem na początku o inności i obcości [zainteresowanych odsyłamy do numeru 107, s.3]. Mój tata, co jest chyba najważniejsze w tym wszystkim, bardzo wiele poświęcił, żeby coś zrobić w swoim życiu dobrego dla Polski. Nie musiał tego robić. Doskonale pamiętam, jak byłem dzieckiem i on jeszcze pracował w pierwszej japońskiej firmie w Polsce, która handlowała maszynami rolniczymi. Naprawdę, mieliśmy wtedy fajnie. Dostawaliśmy fajne prezenty, klocki Lego i w ogóle było super, a nagle to się wszystko skończyło, bo mój tata zaczął działać dla Polski. Po czym nagle przestał zarabiać takie pieniądze... i tak dalej, i tak dalej. Z punktu widzenia dziecka, jakim wtedy byłem, to jest taka mocno wyczuwalna zmiana. I oczywiście nie rozumiałem tego, i jeszcze wiele czasu mi zajęło zanim zrozumiałem. Tata nie robił tego żeby się komuś przypodobać, nie robił tego, żeby wszyscy go zaakceptowali, żeby pomyśleli „o, jaki on jest fajny”. Robił to co robił, bo uważał, że musi pomóc, że musi coś zrobić, żeby ludziom tutaj żyło się lepiej, niezależnie od ci ludzie sobie o nim pomyślą, niezależnie od tego, czy będą mu za to dziękować. Po prostu uznał, że tak trzeba. Zawsze mnie pytają, czy mój tata był bardziej Japończykiem, czy bardziej Polakiem. Ja zawsze odpowiadam, że niestety nie był ani Japończykiem, ani Polakiem, ponieważ japońskość polega troszkę na tym, że się tkwi w takim bardzo hermetycznym społeczeństwie. Nie da się z niego wyjść i potem wrócić. Naprawdę, Japończycy są bardzo hermetyczni, jak się tam nie urodzisz i nie wychowasz, i nie mieszkasz przez całe życie, i nie masz tej całej swojej drogi ułożonej tak jak normalny Japończyk, potraktują cię jak człowieka obcego, z zewnątrz, do którego odnoszą się z wielką uprzejmością, ale jednak z pewnym

dystansem. Więc tak go traktowali, bo on był trochę ciałem obcym. Wyjechał jako dziecko, wrócił jakiś dziwny, jeszcze tam robił jakieś dziwne rzeczy. Może w Polsce niektórzy go doceniali, ale tak naprawdę dla nich też był ciałem obcym, no bo był Japończykiem. Mimo że się poświęcił i robił wszystko dla nas tutaj, to jednak był traktowany jako ciało obce, co mocno się okazało jak wrócił w tym 89 roku i nie było już dla niego miejsca, które wcześniej sobie wypracował. Myślę, że ta historia uczy nas nie tego jak traktować ludzi, którzy są inni, bo to już każdy musi jakby według własnego sumienia i według własnego wychowania, wartości i wrażliwości postępować. Bardziej interesujące jest tutaj nie to, jak my powinniśmy traktować przykładowego mojego tatę, ale to jak on traktował świat. On nie był „przypisany” do tego kraju, nie dlatego pomagał, że to moi ludzie, dlatego że jestem Polakiem i na przykład jestem patriotą. Robił to, bo uważał, że tak trzeba, że to jest ważne. I jeżeli mnie pytają, czy on był Japończykiem, czy Polakiem, to ja mówię: nie był absolutnie nikim. Był kompletnym bezpaństwowcem, ale w tej jego bezpaństwowości, „nieprzypisaniu”, jest jedna absolutnie ważna rzecz. Że to on wybierał, co



on chce zrobić, że on miał w sobie, tę wolność wyboru, że mógł wybrać: poświęcam się dla was albo się dla was nie poświęcam. Poświęcam się dla tamtych czy owamtych. Myślę, że to jest taka szalenie ważna rzecz, że mógł w sobie odnaleźć taką wolność wyboru, zrobić to co trzeba. Żeby zrobić to co trzeba, niezależnie od tego czy mamy stempelka na czole pod tytułem „Polak”, „Warszawiak”, „Żyd”, „Cygan”, „Murzyn”, „Żółty” itd. Tu nie chodzi o to jak nas postrzegają, tylko o to, jak my samych siebie postrzegamy, czy i jak my chcemy dać siebie innym. I to jest tak naprawdę to, co jakby spina klamrą i mojego tatę, i mojego dziadka. To, że oni postanowili dać siebie innym, niezależnie od tego, czy ktoś od nich tego oczekiwał czy nie, czy ktoś ich afiliiował, czy utożsamiał ich jako kogoś z naszej grupy, czy nie. Chyba nikt nie wątpi, że to jest trudne. Trudno jest się poświęcić dla kogoś, kto nie uważa nas za człowieka ze „swojej bandy”. Więc myślę, że to jest w tej historii taki istotny element, którym bym się chciał z wami podzielić i jeżeli uznacie, że ta historia jest ciekawa, to też chciałbym, żebyście o tym pamiętali i zachowali istotę tego wszyst-

kiego. Jeżeli macie jakieś pytania to bardzo proszę.

Uczestnik 1: Co Pana trzyma w Polsce, czy to przywiązanie moralne, mentalne, czy są jeszcze jakieś powody?

Tomoho Umeda: To bardzo dobre pytanie, ja je sobie sam wielokrotnie zadaję [śmiech]. Wychowałem się w Polsce, której już nie ma, na szczęście, w PRL-u. Wychowałem się w domu, który był domem opozycyjnym. Naprawdę moje dzieciństwo, to panowie ze służby bezpieczeństwa, którzy odprowadzali mnie do szkoły, to przerzucanie pisemek podziemnych do ambasady japońskiej pod ubranie, to notoryczne rewizje i przeszukania w nocy naszego domu i bicie mojej mamy na moich oczach. To wszystko są rzeczy, które pamiętam doskonale, ponieważ trwały od osiemdziesiątego pierwszego gdzieś do osiemdziesiątego piątego roku, czyli od mojego 7 do 11 roku życia. I to jest tak, że po czymś takim trudno jest opuścić Polskę, jeżeli się tyle poświęciło, żeby ona się zmieniła. I oczywiście mam swoje opinie na temat tego co się w Polsce dzieje i czasami się zastanawiam nad tym, czy warto było tyle poświęcać, ale za chwilę sobie myślę, że to są wszystko tylko chwilowe perturbacje.

Uczestnik 2: ja mam pytanie. Czy kontynuuje pan religię swojego dziadka, czy wyznaje jakąś inną?

Tomoho Umeda: Jestem katolikiem, w sensie takim, że zostałem ochrzczony, miałem Pierwszą Komunię Świętą, byłem bierzmowany, jestem ojcem chrzestnym różnych młodych ludzi. Brałem ślub kościelny i jeszcze się nie rozwiodłem. Z drugiej strony nie mogę powiedzieć, że bym był praktykującym, wierzącym katolikiem. Nie chodzę do kościoła. Jestem katolikiem „folklorystycznym”, szanuję tradycje związane ze świętami, ale to nie jest prawdziwa głęboka wiara. Nie jestem buddystą, w sensie nie czuję się nim, nie dochowuje żadnych

obrzędów buddyjskich, natomiast jestem z nim dość mocno zaznajomiony. Uważam buddyzm bardziej za filozofię i sposób myślenia niż za religię. To jest szalenie istotne, ponieważ jestem z wykształcenia antropologiem i antropologia, która jest taką filozofią w podróży, jest też pełna tego wszystkiego co i w buddyzmie bardzo łatwo można odnaleźć. Także ja traktuję to jako (po angielsku można określić) „mindset”, taki zestaw wartości, które rzeczywiście mi towarzyszą. Nie mógłbym powiedzieć, że jestem buddystą bardziej niż katolikiem, bo dla mnie to są dwie sprawy, które nie leżą na tej samej płaszczyźnie. Każdy, kto się trochę bardziej zaznajomi z buddyzmem, zrozumie, że to jest przede wszystkim system wartości, a nie symboli. Katolicyzm jest i systemem wartości, jeżeli jest świadomy, ale też w nim jest ogromna warstwa symboliczna, która jest właściwa naszej kulturze i służy do tego, żebyśmy tworzyli jakąś wspólnotę. Ja mam do religijności podejście zdystansowane. Jako antropolog miałem możliwość studiowania chyba większości religii, jakie na świecie są, różnych ich typów, od animistycznych po wielkie złożone systemy, więc generalnie mam do tego dystans naukowy, tak bym to powiedział.

Ponieważ spotkanie z Panem Tomohem i cała rozmowa z nim była długa i obejmowała wiele różnorodnych wątków (religię, filozofię - i energetykę, problem stereotypów, rasizmu - i zagadnienia kulinarne...), nie jesteśmy w stanie pomieścić tu ich wszystkich. Ale jako że wszystkie te wątki są naprawdę interesujące, nasz gość i jego refleksje będą nam towarzyszyć w kolejnych numerach jeszcze po wakacjach! A zainteresowanych postacią i działalnością opozycyjną Yoshiho Umedy zapraszamy do lektury numeru 106, do rubryki „Warszawiacy nie z tej Ziemi”.

Gromiejska NEON CHALLENGE

18 czerwca w Młodzieżowym Domu Kultury odbyło się uroczyste podsumowanie pierwszych etapów całorocznej gry miejskiej NEON CHALLENGE, która przebiega w ramach projektu „Miasto światła i kolorów”. Uczestnicy gry co miesiąc odwiedzają wskazane miejsca Warszawy i kreatywnie doku-

mentują swoje spotkania ze znajdującymi się tam neonami, a autorzy najciekawszych materiałów stworzonych w każdym otrzymują nagrody i dyplomy. Jednym z projektowych wyzwań w etapie kwietniowym był znany wszystkim mieszkańcom Ochoty „Zieleniak” – prezentujemy dziś zdjęcia, wykonane przez laureatów tego etapu, ilustrujące bardzo ciekawy tekst o historii neonu i jego otoczenia, tradycyjnie autorstwa pana Piotra Maja.

Przy okazji przypominamy, że NEON CHALLENGE toczyć się będzie także w okresie wakacyjnym! Zachęcamy do wspólnych, rodzinnych lub przyjacielskich wycieczek po Warszawie w pięknych letnich okolicznościach przyrody, do odkrywania i dokumentowania w dowolny sposób (niekoniecznie na poważnie!) wskazywanych co miesiąc na naszych stronach neonów. A jesienią znowu na uczestników czekać będą nagrody!

Jeden z nowszych warszawskich neonów – „Zieleniak”, reklamuje halę targową na Ochocie, nawiązując do historycznej nazwy tego miejsca.

Nazwa wzięła się od istniejącego tu już od 1917 roku targowiska, na którym sprzedawano warzywa, owoce i inne płody rolne. Wówczas miejsce, w którym znajdował się ów zieleniak, to były peryferie Warszawy, dzisiejsze osiedla Szczęśliwice, Okęcie i Włochy leżały już poza granicami miasta.

Targ wyposażony był w ujęcie wody i kanalizację, a plac wyłożony brukiem, co stanowiło nowoczesne jak na tamte czasy rozwiązanie. Do dziś fragment dawnego bruku zachował się od strony ulicy Grójeckiej, naprzeciwko pomnika Barykada Września. W dwudziestolecie międzywojennym teren wokół bazaru zaczął się intensywnie rozbudowywać, w okolicy powstały m.in. zajezdnia tramwajowa, gmach szkoły (obecnie mieści się w nim XXI LO imienia Hugona Kołłątaja) oraz nowe osiedla Rakowiec i Szczęśliwice.

We wrześniu 1939 roku zieleniak był świadkiem tragicznych wydarzeń kampanii wrześniowej. W poprzek ulicy Opaczewskiej i Grójeckiej przebiegała linia obrony miasta przed nadciągającymi od strony Okęcia wojskami niemieckimi. Szturm trwał od 8 do 27 września, a bohaterską



Fot. Maja Trojnicka
Szkoła Podstawowa nr 264 im. Gabrieli Mistral

walkę obrońców Warszawy upamiętnia składający się z trzech części pomnik Barykada Września u wylotu ulicy Opaczewskiej. Monument odsłonięto w 1979 roku w 40 rocznicę wybuchu II wojny światowej.

Środkowa część, pomiędzy jezdniami przy torowisku tramwajowym, to rok obrony – 1939, część lewa (patrząc od strony ul. Banacha) to data początku oblężenia, 8 IX, a część prawa to data kapitulacji – 27 IX.

Ponowne dramatyczne wydarzenia rozegrały się w tym miejscu w czasie powstania warszawskiego i po jego upadku, gdy na terenie targowiska utworzono obóz przejściowy dla cywilnej ludności Warszawy, wypędzanej ze zrujnowanego miasta. Dochodziło tutaj do okrutnych zbrodni, dokonywanych przez oddziały SS Rona czyli rosyjskich i ukraińskich kolaborantów, działających pod niemieckim dowództwem. Po II wojnie światowej handel szybko powrócił w te strony, a kiedy odciłek ul. Opaczewskiej na wschód od Grójeckiej przemianowano na ulicę Banacha, zaczęto również zieleniak nazywać bazarem Banacha.

Z biegiem lat spożywczy bazar przekształcił się w wielobranżowy targ, nie tak dawno zlikwidowany, a przez lata znany bardziej ze sprzedaży ubrań i butów oraz wszelkiego rodzaju towarów (głównie



Fot. Marysia i Tymon Wosik
Szkoła Podstawowa nr 264 im. Gabrieli Mistral

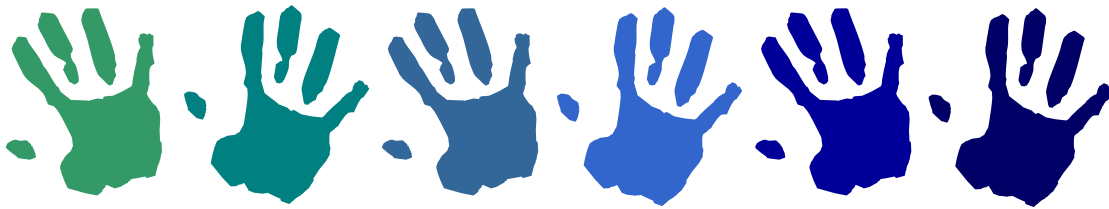
z Azji), niż warzyw i owoców. W 1982 roku na części placu targowego otwarto dwie bliźniacze hale nazwane halami Banacha, przez mieszkańców Ochoty zwane także blaszakami, z racji tego że znajdują się w blaszanych pawilonach. W 2015 roku na terenie targu warzywnego wybudowano nowoczesny pawilon handlowy z dziedzińcem i stoiskami na miarę XXI wieku. Jeszcze podczas budowy otrzymał on historyczną nazwę Zieleniak.

Wróćmy jednak do neonu. Jest zielony, stylizowany na zabytkowy, nawiązuje do najlepszych neonów z lat sześćdziesiątych XX wieku. Jego kształt został wybrany w głosowaniu internetowym na stronie dzielnicy Ochota. Widoczny na zdjęciach projekt zdobył najwięcej głosów i to on od kilku lat świeci na elewacji nowego zieleniaka.

Piotr Maj



Fot. Liliya Koval
XLVIII Liceum Ogólnokształcące im. Edwarda Dembowskiego



GDYBY SZKOŁA BYŁA NIEOBOWIĄZKOWA...

Żyjemy w czasach, w których, gdy jest się młodym, chodzenie do szkoły jest czymś oczywistym. Wielu uważa, że jest to „standard cywilizacyjny”. Co ciekawe, mimo że w Polsce istnieje obowiązek szkolny i obowiązek nauki, to nie wszystkie dzieci chodzą do szkół. Są do nich zapisane, ale zdecydowaną większość roku spędzają poza nimi. Jest to związane z możliwością edukacji domowej, z której korzysta obecnie ponad 10 tysięcy uczniów w naszym kraju. Takie osoby, z pomocą nauczycieli albo bez nich, uczą się w swoich domach, z obowiązkiem zdawania dodatkowych egzaminów potwierdzających nabywanie nowej wiedzy. Dla nich szkoła jako miejsce codziennych wędrówek nie jest czymś obowiązkowym. Osobiście znam parę osób, które z tego typu edukacji korzystają. Bardzo często jednak spotykają się z negatywną opinią ze strony społeczeństwa. Tak jak wspominałem, chodzenie do szkoły to dla wielu „standard cywilizacyjny”. Jeśli ktoś nie chodzi do szkoły albo uczęszcza do placówki, którą wiele osób nazwie „nienormalną” (mam tu na myśli na przykład szkoły Montessori), jest często stygmatyzowany społecznie. Brzydkie epitety, często nieuczynane, to coś, z czym musi się wiele z tych osób mierzyć na co dzień. Ja jestem daleki od krytyki innych sposobów edukacji. Jak wiemy, monopol szkodzi rynkowi. W takim razie czy jeden sposób edukacji nie szkodzi przypadkiem społeczeństwu?

Chyba już niemalże ikonizowane są żarty ze szkoły i sposobu kształcenia dzieci i młodzieży w większości państw Europy. Istnieje pewna interesująca grafika, na której widzimy: małpę, rybę, ślonia i parę innych zwierząt. Wszystkie te istoty dostają od jednakowego systemu nauczania, to samo zadanie – wejść na drzewo. Dla małpy to nie będzie żaden problem, dla innych zwierząt jest to jednak duże wyzwanie, dla części z nich praktycznie niewykonalne. Ryba na pewno nie zda tego egzaminu. System ją wykluczy, a społeczeństwo będzie ją wyśmiewać, gdyż nie umie wejść na drzewo. Nikt nie doceni, nie pochwali jej za to, że odnajduje się w innej dziedzinie życia – pływaniu. Ta alegoria, oczywiście zhiperbolizowana, ma ukazać jak wygląda system edukacji. Społeczeństwo nie doceni ryby za pływanie, gdyż nie pasuje ona do ustalonego „szablonu”, mimo, iż w innym odnalazłaby się bardzo dobrze. Obecna polska szkoła zapewne nie narzuca nam aż takiego wyzwania, z jakim musiała mierzyć się ryba. W zakresie materiału szkoły podstawowej czy ponadpodstawowej raczej nie ma nic niemożliwego do nauczenia się. Oczywiście, w zależności od zainteresowań, jeden temat wchodzi nam do głowy wolniej, drugi szybciej, ale reguły i tak prędko się później da się opanować dany materiał. Istnieje tylko pytanie, czy taka obowiązkowa szkoła i przeciskanie się przez „szablon” to dobra droga dla rozwoju młodego człowieka?

Dr Peter Gray, znany psycholog i badacz oraz zwolennikiem „unschoolingu”, uważa, że nie. Czym jest „unschooling”? Jest to forma uczenia się zakładające skupienie na zainteresowaniach i pasjach młodej osoby. W ten sposób dziecko ma przyswajając naturalnie nowy materiał. Badacz jest

krytykiem systemu edukacji, a także samej instytucji szkoły. Jak zauważa, zanim dziecko uda się do szkoły, już umie chodzić i mówić w swoim ojczystym języku, a jego początkowa wiedza jest przyswajana w sposób naturalny, bez żadnego oporu. Gray uważa, że skoro dziecku udało się nauczyć tego bez pomocy instytucji, to reszty też się da. W jego opinii, człowiek rodzi się z chęcią odkrywania i poznawania nowych rzeczy, a szkoła, która wywołuje uczucie przymusu, przyczynia się do zahamowania tej fascynacji. „Unschooling” więc to coś ponad edukację domową, to całkowite zerwanie z instytucją szkoły.

Wiele osób uważa, że „unschooling” to coś nierealnego, gdyż, jak twierdzą, dzieci szybko tracą zainteresowanie poszerzaniem horyzontów bez „bicz” nad głową. Wprawdzie czasami rzeczywiście tak się zdarza, jednakże jest to zwykle spowodowane zachłystaniem się wolnością. Utrata zainteresowania jest widoczna u osób, które do szkoły chodziły i nagle zmieniły system swojego nauczania. Możemy na przykład spojrzeć na nauczanie zdalne, będące z pewnością lekkim „poluzowaniem śruby”, które wielu uczniów rozleniwilo. W przypadku osób, które od początku rozwijały się w ramach „unschoolingu”, badania pokazują, że nie odstają one w znacznym stopniu od reszty rówieśników, nawet jeśli chodzi o życie już po szkole. Kolejnym argumentem przeciw takiemu systemowi edukacji jest to, że nawet jeśli młoda osoba będzie realnie rozwijać się w jakichś ulubionych dziedzinach bardzo dobrze, to mogą wystąpić fundamentalne braki wiedzy ogólnej. Wiedza ogólna to coś całkiem ważnego i przydatnego. Wypada wiedzieć o podstawowych rzeczach z najważniejszych i najpopularniejszych dziedzin życia i nauki, choćby po to, aby nie ośmieszyć się przed znajomymi czy potem współpracownikami.

Szkoła jako placówka jest dla nas wszystkich prawie obowiązkowa. Prawie, bo zawsze można spróbować swoich szans w edukacji domowej, ale to nie jest tak proste do osiągnięcia, a nawet jak się uda, to nie zrywamy w pełni ze szkołą, gdyż wciąż musimy i tak trzymać się programu nauczania. Oczywiście, przynajmniej dzięki braku chodzenia na lekcje, mamy więcej czasu na rozwijanie swoich zainteresowań. Czy podoba mi się „unschooling”, edukacja domowa czy nieobowiązkowa szkoła? Są to z pewnością ciekawe pomysły, trudno je ocenić, gdy praktycznie całe społeczeństwo widzi tylko jedną opcję, drugiej często nie będąc sobie w stanie wyobrazić. Nie trzeba iść do szkoły, uczysz się czego chcesz... Interesująca idea. Z pewnością warta przetestowania w szerszej rywalizacji ze starym systemem.

Bartosz Sobieniak, XLVIII LO im. Edwarda Dembowskiego

INTERAKCJE PARASPOŁECZNE

Internet zawiązał nam światem bardzo szybko, teraz prawdopodobnie większość z nas nie byłaby w stanie przeżyć bez ciągłego sprawdzania informacji, które napływają z każdej strony. Największą część życia zabierają nam social media, które, tak jak wszystko, mają swoje pluse i minusy. Dzięki nim możemy kontaktować się ze znajomymi i w przeciągu minuty sprawdzić co dzieje się po drugiej stronie świata. Aplikacje takie jak np. Messenger są używane do tego stopnia, że duża część młodych ludzi nie korzysta już z tradycyjnych smsów. Podejrzewam, że wiele osób używa też portali społecznościowych, aby obserwować życie swoich ulubionych aktorów, piosenkarzy itp. I tu właśnie pojawia się temat, który bardzo mnie zainteresował. Jako osoba, która spędza dużo czasu w Internecie, spotkałam się ze zjawiskiem interakcji paraspołecznej. Słowo może brzmieć skomplikowanie, ale jego definicja najprawdopodobniej jest nam bardzo bliska. Chodzi tu o poczucie społecznej, rzeczywistej więzi z nieosiągalną bądź fikcyjną postacią, najczęściej bohaterem filmu, serialu, książki, gwiazdą muzyki czy sportowcem. Szczególnie młodsze osoby, które za swoich idoli uważają teraz youtuberów czy streamerów mają tendencję do postrzegania ich jako znajomych czy nawet przyjaciół. Nie mają problemu podejść do nich na co dzień, aby zrobić sobie zdjęcie albo dostać autograf. Wydaje nam się to normalne, bo jest tak od dawna. Jeżeli lubi się coś lub kogoś, chcemy mieć rzeczy z tym związane. Osoby

popularne często otrzymują od fanów wiadomości, w których ci żalą się na problemy lub dziękują, że mają okazję obserwować to co robi dany twórca. Ale dlaczego tak jest? Przecież jeśli nie znamy kogoś osobiście nie będziemy mu raczej wysyłać wiadomości związanych z prywatnym życiem. Interakcje paraspołeczne od społecznych (czyli tych zwykłych, codziennych) oddziela jedna istotna różnica – jest to relacja jednostronna. Robert Lewandowski jest idolem wielu chłopców, szczególnie interesujących się piłką nożną. Ma on ogromną grupę fanów, którzy wiedzą o nim bardzo dużo, jednak on sam nie zna praktycznie nikogo, więc nie jest możliwa prawdziwa relacja między nimi. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że obecnie taka „zastępcza” przyjaźń staje się wygodnym zamiennikiem prawdziwych relacji dla zdrowych, normalnych ludzi, którzy po prostu są zbyt zabiegani, by poświęcać czas na spotkania z rzeczywistymi znajomymi. Problem pojawia się też, jeśli nasz idol nie odpowie nam na wysłaną wiadomość, czy nie będzie miał czasu na zrobienie sobie zdjęcia akurat z nami. Wtedy jesteśmy smutni, a nawet zdenerwowani, co często przeraża się hejt. Dlatego powinniśmy umieć rozdzielić te dwa zupełnie różne od siebie zjawiska. Zbliżają się wakacje i będziemy mieli więcej okazji do spotkań ze znajomymi, więc róbmy to! Pielęgnujmy nasze przyjaźnie i nie zapominajmy, że to właśnie one są tak bardzo ważne w codziennym życiu.

Anna Rombalska 5

WIOSENNE AKTUALNOŚCI

KONKURSOWA RADOŚĆ W MDK „Ochota”: XXIX edycja warszawskiego konkursu „Moja zabawka” oraz interdyscyplinarny, dzielnicowy konkurs „Co pika w sercu smyka?”



Zofia Kozińska
SP 293 NAGRODA

Zofia Król SP 373
NAGRODA

Adrianna Błażyńska
MDK Łazienkowska NAGRODA

Pola Byczkowska
MDK „Ochota” NAGRODA

A. Schaeffer, J. Ślesicka
SP 373 NAGRODA



W. Benedyktowicz Przedszkole 111 NAGRODA



Kamil Zawadzki Przedszkole 101 NAGRODA



Lila Kowalska MDK „Ochota” NAGRODA

W ubiegłym roku szkolnym czas pandemii i narodowej izolacji uniemożliwił organizację wielu imprez i konkursów zaplanowanych w MDK „Ochota”. Przy planowaniu tegorocznych wydarzeń mieliśmy podobne obawy, jednak poluzowanie kolejnych obostrzeń oraz wielkie zaangażowanie nauczycieli i uczniów z warszawskich placówek sprawiło, że wspólnie daliśmy radę i osiągnęliśmy pełen sukces twórczy. Mamy przyjemność podzielić się z wami na łamach Korniszona wspaniałymi efektami - pracami dzieci i młodzieży w konkursach: interdyscyplinarnym konkursie dzielnicowym „Co pika w sercu smyka?” (kat. plastyczna) i warszawskim konkursie „Moja zabawka” (kat. zabawka na trudne czasy).

Z powodu nadal niestabilnej sytuacji epidemicznej finały obu konkursów musieliśmy zrealizować w formie filmowych prezentacji multimedialnych zamieszczonych w naszych mediach społecznościowych i wysłanych do szkół i placówek. Zapraszamy do oglądania, dostępne są na FB MDK „OCHOTA”! Jednak nic nie odebrało nam samej radości z ich organizacji, zakupu nagród, druku dyplomów, obrad komisji konkursowych i wyboru laureatów.



Tymon Pikuła Przedszkole 176 NAGRODA

W pierwszym konkursie i wzięto udział 361 przedszkolaków zgłoszonych z 14 placówek oświatowych w następujących kategoriach: recytacja, prezentacje taneczne i parateatralne oraz plastycznej. Komisje pracujące w trybie stacjonarnym i online wyłoniły z każdej kategorii konkursowej laureatów. Łącznie nagrodziliśmy i wyróżniliśmy 132 uczestników. Natomiast w XXIX edycji warszawskiego konkursu „Moja zabawka” wzięto udział 132 uczniów z 9 placówek oświatowych, a komisje przyznały łącznie 48 nagród i wyróżnień. Wszystkie upominki w postaci gier planszowych i edukacyjnych,

gadżetów z logo, miłych poduszek zostały ufundowane ze środków Wydziału Oświaty i Wychowania Dzielnicy Ochota. Jesteśmy pod ogromnym wrażeniem nadesłanych prac plastycznych, wykonanych zabawek i prezentacji scenicznych. Serdecznie dziękujemy nauczycielom za pełne zaangażowanie, przygotowanie wychowanków i pomoc w organizacji konkursów w wersji internetowej. Wiemy już, że wspólnie możemy tworzyć wspaniałą przestrzeń do prezentacji wszelakich talentów.

Dziękujemy uczestnikom i rodzicom, którzy sami dzwoniли, dopytywali i tęsknili za swoimi ulubionymi konkursami. Mamy nadzieję, że w przyszłym roku spotkamy się w MDK „Ochota” już tradycyjnie przy wielu wydarzeniach, a tymczasem prosimy cieszyć oczy artystyczną twórczością naszych kochanych przedszkolaków, dzieci i młodzieży.

Anna Gryglewicz



Zaneta Pawłowska
MDK „Ochota” NAGRODA



6 Piotr Straszewicz MDK „Ochota” NAGRODA



Jan Szymuś MDK „Ochota” NAGRODA



Katarzyna Ołędzka MDK „Ochota” NAGRODA

WIEŚCI ZZA MIEDZY CZYLI CO SŁYCHAĆ U SĄSIADÓW



SPĘDŹ „WAKACJE RAZEM” Z

Sala zabaw dla Dzieci Inca Play znów jest otwarta! Atrakcje z wesołego miasteczka, konstrukcja zabawowa, kryjówki edukacyjne, piramida do wspinaczki i wiele więcej, to wszystko czeka na Was w CH Blue City +4. Przez całe wakacje, sala zabaw zaprasza Was do godziny 20:00!

Już od 28.06 w sali zabaw Inca Play rozpoczynają się tygodniowe turnusy wakacyjne! „Wakacje Razem” to projekt, w ramach którego dzieci wezmą udział w warsztatach, odwiedzą ciekawe i piękne miejsca, a także oddadzą się w wir zabawy.

W trakcie turnusów przewidziano: warsztaty ceramiczne, kucharskie, ekologiczne, plastyczne oraz atrakcje na zewnątrz. Dzieci wraz z kadrą uśmiechniętych i doświadczonych opiekunów odwiedzą: Ściankę wspinaczkową, Papugarnię, kino Helios oraz piękne, zielone okolice Szczęśliwic.



Wszystkie posiłki: śniadanie, obiad i podwieczerek, przygotowujemy dla dzieci samodzielnie w naszej kuchni, aby zapewnić jakość i świeżość na najwyższym poziomie.

Sala zabaw dla dzieci Inca Play zadba o Wasze pociechy między 8:30 a 18:00

Turnusy zaplanowaliśmy między 28 czerwca, a 27 sierpnia w cyklach tygodniowych. Istnieje również możliwość wykupienia udziału dziecka na pojedynczy dzień zajęć.

Zapisy:

mailowo: info@incaplay.pl,

telefonicznie: 606-770-098 lub osobiście w recepcji centrum rozrywki Inca Play.

Na turnusy przyjmujemy dzieci w przedziale wiekowym 5-12 lat.

Więcej szczegółów można znaleźć na stronie internetowej www.incaplay.pl.

TEPFACTOR

Czy TepFactor jest wspaniały? Tak. Ale co to w ogóle jest? Cóż, wyobraźcie sobie trzydzieści mniejszych escape roomów w jednym. Czyli tak jakby trzydzieści razy więcej adrenaliny. Pokoje podzielone są na podkategorie, m.in. siłowe, zręcznościowe czy umysłowe. Można się więc sprawdzić, przetestować i wykazać na wielu płaszczyznach, a współpracując wygrać. Dzięki temu grupy mają okazję poznać swoje silne strony, zintegrować się i starać się uzupełniać. Grupa „Korniszona” miała okazję odwiedzić to niesamowite miejsce w zaprzyjaźnionym Centrum Handlowym Blue City(+3)

Jak już wcześniej wspomnieliśmy, w tym miejscu kluczowa jest współpraca oraz mierzenie sił na zamiary. Nie powinno się przystępować do zadań, których nie jest się w stanie wykonać, a zapytać kolegów, czy oni czują się pewnie w tym obszarze. Dzięki dobrej komunikacji i różnorodnym umiejętnościom można było zdobyć

punkty. Potrzebne będą przeróżne zdolności, których na co dzień nie byłibyśmy w stanie wykonać. Od prostych zadań matematycznych i łamigłówek, po tory przeszkód, wymagające ostrożności, ale i zwinności. Testowane jest logiczne myślenie i kojarzenie faktów, w połączeniu ze sprawnością fizyczną. Mądre rozwiązania problemów z dziedziny fizyki przeplatane są lekkimi łamigłówkami z wiedzy powszechnej. Jest to miejsce, w którym czas zleciał nam bardzo szybko na zmaganiach z coraz to ciekawszymi wyzwaniem. Byliśmy zadowoleni głównie z tego, że mieliśmy okazję sprawdzić się na wielu płaszczyznach i poznać mocne strony naszych przyjaciół. Dzięki współpracy osiągałyśmy małe i duże sukcesy, a ze wszystkich płynęła satysfakcja. Miło było spędzić czas nie tylko w gronie znajomych, ale także testując swoje umiejętności i współpracę w grupie. Dużo się śmiałyśmy z naszych porażek, szybko rozważałyśmy jak sobie możemy pomóc

i co poprawić. Szybko też dostosowałyśmy się do chaotycznych zadań, jednak trudność sprawiała nam to wymagające wiedzy, w których nie mogłyśmy zaciśnąć zębów i iść dalej. Nie świeciłyśmy inteligencją szczególnie w pokojach, których nie rozumieliśmy. Rekompensowałyśmy to jednak w pomieszczeniach siłowych, w których, nie chwaląc się, dobrze nam szło. Jednocześnie byliśmy zadowolone, że wyrabialiśmy kondycję na wakacje, które zbliżają się nieubłagane. Z całym przekonaniem możemy polecić TepFactor w Blue City każdemu z osobna i każdej grupie przyjaciół, uczniów czy współpracowników. Dodatkowo, właściciele posiadają w swoim wyposażeniu 10 mobilnych atrakcji **TEPfactor FLExi Fun** na eventy plenerowe!

Na pewno nie pożałujecie i wspaniale spędzicie tam czas!

**Ania Rombalska,
Zosia Pietrzak, Kasia Marecka**

NIESAMOWITA PRZYGODA W TIME MACHINE

Time Machine - Zatrzymaj czas! To jedyne takie miejsce na rozrywkowej mapie Warszawy, w którym czeka Cię podróż w czasie - i to nie byle jaka, bo w technologii Blacklight 3D! Na naszym polu Golfa 3D każdy z 18 dołków to przeprawa przez kolejne epoki i okresy historyczne - łączymy więc aspekt rozrywkowy z edukacyjnym, w atmosferze, w której nie sposób się nudzić! Po skończonej rozgrywce zapraszamy do naszej strefy relaksu, bądź na dalszą zabawę przy automatach i grach wideo! Zapraszamy zarówno dzieci, młodzież, jak i dorosłych. Zapewniamy że w naszym lokalu każdy znajdzie coś dla siebie, niezależnie od wieku. Time Machine to idealne miejsce odwiedzin w mniejszych grupach, ale również... na urodziny! Organizujemy imprezy urodzinowe w formie ciekawych pakietów.

Ostatnio miałam okazję być razem z naszą redakcją w Time Machine w Blue City. Jest to minigolf mieszczący się w tym centrum handlowym na trzecim piętrze. Jednak nie jest to taki zwykły minigolf, lecz trójwymiarowy, w technologii 3D, opowiadający historię świata. Każde stanowisko przedstawia inną erę historyczną, począwszy od dinozaurów, a kończąc na dniu dzisiejszym. Przenosimy się w czasie do Egiptu, Chin, Grecji czy Rzymu. Dzięki ultrafioletowemu światłu wszystkie figury i przeszkody mają



kształt 3D. Ostatnie parę dołków przenosi nas do przyszłego świata, czyli widzimy latające statki kosmiczne czy budynki. Cały golf robi niesamowite wrażenie, gdyż jest też położony na dość dużym terenie. Oprócz tego jest jeszcze miejsce do odpoczynku, sklepik oraz przestrzeń, w której można spędzić czas grając na różnych automatach. Obsługa jest bardzo miła i pomocna, tak że czas spędzony tam nie będzie nudny. Wycieczka tam razem z rodziną czy przyjaciółmi na pewno będzie niesamowitą przygodą!

Martyna Knefel 7

WOLONTARIAT W SZKOLE PODSTAWOWEJ NR 264 - frajda i satysfakcja ze wspólnego działania

We wrześniu 2020 roku w mojej Szkole Podstawowej nr 264 powstało szkolne koło wolontariatu, mające na celu umożliwić uczniom wspólną pracę wolontaryjną, bo, jak to się mówi, w grupie raźniej. Postaram się opowiedzieć o pracy tego koła, ponieważ sam jestem jego uczestnikiem. W naszym kole panuje zasada, że tygodniowo musimy spędzić na wolontariacie półtorej godziny. Każdego tygodnia spotykamy się zdalnie albo stacjonarnie, na spotkaniach przedstawiamy nasze pomysły na akcje ewentualnie omawiamy te, które już są wprowadzane w życie. Jak to są akcje? Zaraz opowiem. Nasze szkolne koło wolontariatu do tej pory stworzyło 5 projektów i wzięło udział w wielu akcjach charytatywnych.

Pierwszy projekt który bardzo dobrze znam, ponieważ sam w nim wzięłam udział, nosił nazwę „O! SWÓJ!”. Polegał on na nawiązaniu współpracy z Teatrem 21, którego aktorzy to osoby z zespołem Downa i autyzmem. Razem z moją klasą odbyliśmy warsztaty z jednym z pedagogów tego teatru, panem Sebastianem Świąder, oraz jedną z jego aktorek – Aleksandrą Skotarek. Spotkanie było naprawdę inspirujące, dowiedzieliśmy się jak wygląda życie codzienne osoby niepełnosprawnej. Po warsztatach obejrzelśmy spektakl „Rewolucja której nie było”, opowiadający o proteście osób niepełnosprawnych i ich rodziców w Sejmie, który odbył się w maju 2018 roku. Bardzo dobrze wspominam te warsztaty i cały projekt.

Następny był projekt o nazwie „szkola w sąsiedztwie”, realizowany przy współpracy fundacji Pole Dialogu. Głównym celem projektu było ustalenie zasad współpracy z zaprzyjaźnionymi i chętnymi do współpracy instytucjami lub organizacjami z najbliższego otoczenia, takimi jak np. Dom Pomocy Społecznej. Podczas tej akcji naszym mentorem był pan Mateusz Konieczny, twórca Manufaktury Przyszłości. Zainteresowani współpracą szkolni wolontariusze łączyli się z instytucjami online w aplikacji Teams oraz ustalali zakres współpracy. Ja sam wzięłam udział we współpracy z Domem Pomocy Społecznej „Chemik”, a jej owocami były akcje „Kartka dla seniora” oraz „Słodka paczka dla seniora”. Chętni wolontariusze wysłali również swoje życzenia tematyczne z okazji Dnia Babci i Dziadka, Dnia Kobiet oraz Pierwszego Dnia Wiosny, w postaci nagrania wideo. Akcja „Kartka dla seniora” została przeprowadzona we współpracy z naszym Samorządem Szkolnym.

Trzeci to projekt „Miejszcuffki Ochoty”, zorganizowany przez nasze Szkolne koło wolontariatu oraz Młodzieżowy System Wspar-

cia Rówieśniczego w ramach programu Lokalny System Wsparcia „Razem z Ochotą”. Projekt trwa do czerwca 2021 roku, a polega na tym, że chętny wolontariusz organizuje krótki quiz do wykonanych przez siebie zdjęć swoich ulubionych miejsc w naszej dzielnicy Ochota, przy czym poleca te miejsca innym osobom do zwiedzenia oraz aktywności ruchowej poprzez mapkę wykonaną do quizu. Głównym celem projektu jest promowanie najciekawszych miejsc Ochoty i zachęta do zgłębiania o nich wiedzy.

Czwartym, bezterminowym projektem, zorganizowanym tylko i wyłącznie przez nasze szkolne koło wolontariatu, jest projekt „Lekcja Wychowawcza”. Polega ona na zgłoszeniu się chętnych wolontariuszy do przeprowadzenia lekcji wychowawczej dla klas 4-8 na temat wybrany przez wychowawcę klasy. Wolontariusze tworzą prezentację oraz przeprowadzają ułożony przez siebie scenariusz lekcji podczas godziny wychowawczej. Ja z pomocą innej wolontariuszki przeprowadziłam dotychczas trzy takie prezentacje.

Nasze koło wolontariatu wzięło jeszcze udział w wielu zbiorach charytatywnych, np. WOŚP, „Grosz do grosza” czy „Dzieci – Misjom”. Ta ostatnia jest najciekawsza, ponieważ zbiórka nie miała na celu zebrania pieniędzy, lecz jak największej ilości znaczków pocztowych oraz starych nieużywanych telefonów komórkowych. Inne akcje, w których uczestniczyliśmy, to na przykład „Razem z gorylem i jego teamem. Chronimy ginące gatunki”, nagrywaliśmy również filmiki tematyczne takie jak „Wielka rafa koralowa”, czy „Pierwszy dzień wiosny”. Jedną z ciekawszych akcji była akcja pod nazwą „Młodzi – młodszym” polegająca na nagrywaniu w formie wideo, czytania bajek dla dzieci, które potem były udostępniane dla klas młodszych. Podczas XVII dzielnicowego święta wolontariusza „Wolontariat z Ochotą” jeden z naszych wolontariuszy otrzymał wyróżnienie od Burmistrza Ochoty. Chętni wolontariusze mogli też stworzyć własne prezentacje lub artykuły na wybrany przez siebie temat, które były udostępniane na stronie naszej szkoły. Zawarliśmy również współpracę z Fundacją UNICEF, oraz braliśmy udział w warsztatach zorganizowanych przez Fundację CEO z okazji Dnia Ziemi.

Dziękuję za uwagę i serdecznie zachęcam do brania udziału w wolontariacie, ponieważ przynosi to dużą frajdę i satysfakcję. A form Wolontariatu jest naprawdę dużo, więc każdy powinien znaleźć coś dla siebie. :D

Maciej Skolimowski

SŁOWNIK WYRAZÓW DOBRYCH MIĘDZYLUDZKIE

Drodzy Korniczelnicy!

Ten numer zapewne czytacie już w wakacyjnym klimacie, odpoczywając gdzieś w pięknym miejscu lub inaczej, wpadł wam w ręce tuż po wrześniowym powrocie do szkoły czy pracy. Jakkolwiek dotarł do was to bardzo się z tego cieszymy. Bo ta publikacja, musicie wiedzieć jest naprawdę wyjątkowa. To skromne pismo, które dzięki wam przerwało ten trudny czas ostatnich miesięcy tworzone jest z sercem i żywym oddaniem. A przetrwało też dlatego, że przy jego, można tak powiedzieć „produkcji” wytworzyły się niezwykle więzi *międzyludzkie*. To one sprawiły, że nawet gdybyśmy mieli wydawać Korniszona tylko dla tych kilkudziesięciu czytelników i kilkunastu uczestników zajęć to zdecydowanie warto! I tak oto dobre słowo tego numeru idealnie wkomponowało mi się w tenże refleksyjny wstęp. Bo to ludzie tworzą miejsca, wydarzenia, potrafią między sobą dzielić pasjami, nieustannie inspirować i to nie tylko w kontekście naszej Redakcji, lecz ogólnie. Obcowanie ze sobą nawzajem otwiera nowe drzwi i stale poszerza horyzonty. Ten rok był trudny także pod względem utrzymania więzi międzyludzkich, jedne wzmocnił a inne zaprzepaścił na zawsze. Pewnie wielu z was ma takie odczucia i doświadczenia. Kiedy przez wiele tygodni nie spotykaliście się z kolegami, koleżankami w klasie, pracy, na uczelni, coś umykało, czegoś lub kogoś brakowało. Pewnych momentów, wspólnego działania i tak naturalnego kiedyś spędzania czasu obok innych. Zapewne

wiecie, że relacje międzyludzkie wymagają zaangażowania z obu stron, wzajemnego zrozumienia i poszanowania. Nie da się tylko brać, nie dając nic w zamian. Do tych czynników wzmacniających to co między ludźmi dobre, warto dodać wzajemne słuchanie, przekazywanie jasnych, klarownych komunikatów. W tej pandemicznej codzienności, może podzielić moje zdanie, kontakt między ludźmi zaowocował większymi pokładami wzajemnej empatii, to ona w relacjach odgrywa kluczową rolę. Pozwala na umiejętne postawienie się w sytuacji drugiej strony, bo nie zawsze z naszej perspektywy coś wygląda tak czy inaczej. Warto zajrzeć czasami głębiej, dopytać zastanowić i wejść trochę w skórę drugiej osoby. Z czasami niepozornych kontaktów międzyludzkich rodzą się trwałe przyjaźnie, w których warto zadbać w wspólną i zarazem odrębną przestrzeń. Pamiętajcie, aby nikogo nigdy nie oceniać, pytać a nie domyślać się. Dbajcie o relacje z wakacyjnych wojaży i te budowane na co dzień.

Czytajcie Korniszona i bądźcie w nierozzerwalnej więzi z nami, bo potrzebujemy was do ciągłego tworzenia i stawiania sobie nowych wyzwań!

Doktor Zrehabilitowana
Kornisława Kisz-Zieleńska



KORNISZON W STREFIE EKO

STARE NA LEPSZE – UPCYKLING

W hołdzie naszej planecie przekazuję w wasze ręce swój pierwszy artykuł. Dotyczy on upcyklingu, czyli przerabiania starych rzeczy na nowe, o większej wartości. Aby to lepiej zrozumieć, wyobraźmy sobie doskonale znaną nam sytuację z życia codziennego. Widzimy na wystawie znanej sieciówki ciuch – modny, wygodny i doskonale pasuje do naszej dżinsowej spódniczki. Biegniemy do sklepu, aby dać upust swoim zakupowym rządcom, wydajemy na niego ostatnie oszczędności i wracamy do domu w euforii, myśląc jak cudownie na nas wygląda. Stojąc jednak przed własnym lustrem, zdajemy sobie sprawę, jak bardzo nowy nabytek jest podobny od naszej starej bluzki. Bluzki, która przez ostatnie dwa lata leżała na dnie szafy na stercie ubrań „znużyło mi się”. Materiał ten sam, wzór ten sam, a wystarczyłoby kilka poprawek a wyglądałaby dokładnie jak

rzecz na osobie po drugiej stronie szkła. Co w związku z tym? Wydaliśmy pieniądze niepotrzebnie. Gdybyśmy w tamtym momencie przed witryną sklepową lepiej się zastanowili, to może po powrocie do domu, w odmętach Youtube’a znaleźli jakiś filmik DIY i przerobili stary, nieużywany przedmiot na upragnioną rzecz. Dzięki temu nie tylko oszczędzilibyśmy pieniądze, ale pomogliśmy całemu światu. Zaczniemy od samego sklepu. Sieciówka tworząca ten produkt najprawdopodobniej stosuje strategię „Fast fashion” – najwięcej, najszybciej, najtańiej. Możemy się spodziewać, że materiał i jego produkcja są nie ekologiczne, czyli wykonywane kosztem środowiska. Jego wykonawcy byli traktowani nieetycznie, a sam produkt może być splagiowany – w końcu wielkie korporacje nierzadko żerują na małych firmach.

Produkcja ubrań podwoiła się w ciągu ostat-

nich lat – każdego roku produkujemy ponad 100 mld sztuk, z czego 30% nie zostaje nawet sprzedane.

Dlatego tak ważny jest upcykling. Przedłużony używalność starego produktu i spowolniony, może nawet zapobiegający tworzeniu nowego. Zaoszczędzimy wiele surowców naszej kochanej planety, które miały zostać wykorzystane do jego stworzenia. Możemy zapobiec śmierci zwierząt, wyzyskiwaniu ludzi, a nawet rasizmowi, wykazując się odrobiną kreatywności.

Róbmy szafki ze skrzyń, stoliki z palet, lampy ze słoików i doniczki z naczyń.

Nie pozwólmy, aby Ziemia upadła przez ludzką ignorancję i lenistwo. Sama jestem wielką fanką upcyklingu i wierzę, że to jedno z najlepszych rozwiązań chroniących nasz wspólny dom. A przy okazji oryginalnie i świetnie wygląda!

Zuzanna Bałazy

ZAUFANIE. Jak stworzyć więź z koniem i jak ona wygląda?

Koń, jak powszechnie wiadomo, jest silnym, szybkim oraz dosyć dużym zwierzęciem. Jednakże wiele osób nie zdaje sobie sprawy, że w imponującej posturze kryje się płochliwe, niepewne stworzenie o wielkim sercu. A więc: jak dotrzeć do tego wnętrza oraz zapewnić mu spokój i oparcie? O tym, na podstawie mojego doświadczenia z końmi, postaram się opowiedzieć w tym artykule.

Więź jest bardzo ważna. Czasami trzeba przebyć długą drogę, aby ją stworzyć. Może to iść jak po grudzie lub niemal bezproblemowo. Ale od czego to zależy? Tak szczerze – nie wiem. Stałe pojawiają się czynniki, do których trzeba się dostosować. Są jednak rzeczy, o których nie wolno zapominać, inaczej cała praca pójdzie na marne. Mianowicie: cierpliwość, dawanie czasu na decyzje oraz spokój. No i oczywiście praca. Bo jak mawiają – trening czyni mistrza!

Do wszystkich koni należy podchodzić indywidualnie. Charakter każdego z nich jest niepowtarzalny, zupełnie jak u człowieka odcisk palca czy skan siatkówki oka. Na początku znajomości z koniem powinno się dowiedzieć jak on się zachowuje w danej sytuacji, co najbardziej lubi oraz jakie rzeczy go denerwują. Oczywiście same słowa nie wystarczą, bo przecież to tylko teoria. Potrzeba czasu, praktyki aby zacząć „wyczuwać” danego konia, zanim zdarzy się tak, że człowiek znacznie przewidywać zachowania konia i będzie mógł zapobiec tym złym. Jednakże, jak już wspomniałam, droga do tego momentu może być bardzo długa i trudna. Nie wolno się jednak zniechęcać ani poddawać!

Konia przede wszystkim należy traktować jako przyjaciela. Na pewnym etapie koń i człowiek zaczynają „rozmawiać ze sobą”, porozumiewać



się nawet w myślach. Stworzą zespół, i w końcu staną się nie do zatrzymania. Nie muszą startować w zawodach ani być idealni. Wystarczy to, że rozumieją się i ufają sobie nawzajem. To już czyni ich niepokonanymi. Na podstawie moich doświadczeń mogę powiedzieć, że więź z koniem jest po prostu wspaniała. Ja czuję ją w każdej chwili, jaką spędzam z koniem, z którym pracuję. Jeśli interesują cię konie, to życzę ci tych samych przeżyć, które (nawet nie wiem jakim cudem) udało się osiągnąć mnie. A jak przejawia się ta więź w zachowaniu konia? Już mówię.

Jak już pisałam – każdy koń jest inny. W związku z tym przywiązanie mogą okazywać trochę inaczej. Na przykład będą patrzeć na człowieka z uszami ustawionymi do przodu, kiedy będzie on iść w ich stronę, mogą wtedy rzeć. Będą przychodzić do niego na padoku, cieszyć się na jego widok. Nawet jeśli spłoszą się, a jeździec spadnie, zamiast pobiec prosto do stajni zatrzymają się i będą czekać (większość koni tak robi, ale nie wszystkie, ponieważ niektóre zwyczajnie wolą lecieć do boksu na złamanie karku. Nie oznacza to, że nie są przywiązane do jeźdźcy – po prostu preferują taki sposób działania. Został im on po przodkach). A szczególnie zaszczytem ze strony konia jest położenie się przy człowieku i wytarcanie się. To znaczy, że koń czuje się w towarzystwie człowieka zupełnie bezpiecznie.

Może iść super, może iść źle. Ale to się nie liczy. Bo jedyne co się liczy, to to, że ma się przyjaciela. Przyjaciela, który, jeśli tylko zdoła, zostanie z nami na zawsze.

Zosia Radecka

KUCHNIA ZERO WASTE – WARSZTATY Z SYLWIĄ MAJCHER

22 kwietnia, z okazji wypadającego wtedy Dnia Ziemi, fundacja Centrum Edukacji Obywatelskiej zorganizowała cykl różnych warsztatów. Odbłyły się m.in. warsztaty gotowania zero waste, w których miałem przyjemność wziąć udział. Prowadziła je pani Sylwia Majcher, której towarzyszyła pani Weronika Rzeżutka. Pani Sylwia jest dziennikarką, edukatorką ekologiczną oraz autorką książek na temat kuchni zero waste, w swojej twórczości ma bestseller „Gotuję nie marnuję. Kuchnia zero waste”. Ale teraz o samych warsztatach. Atmosfera była bardzo przyjemna, a uczestniczyli w nich ludzie z wielu zakątków Polski, każdy z nas, siedział

w swoim domowym zaciszu i słuchał z zainteresowaniem pani Sylwii. Niektórzy, w tym ja, wzięli udział w dyskusji i wymieniali się przepisami na czacie spotkania, albo w prywatnej konwersacji. Sam rozdałem dwa przepisy i dostałem jeden, za jednym razem podzieliłem się moją wiedzą, zyskałem nową wiedzę oraz nowych znajomych! Czego chcieć więcej. Co prawda, nie mieliśmy możliwości włączania mikrofonu, przez co nie mogliśmy na głos wymienić paru słów ze sobą.

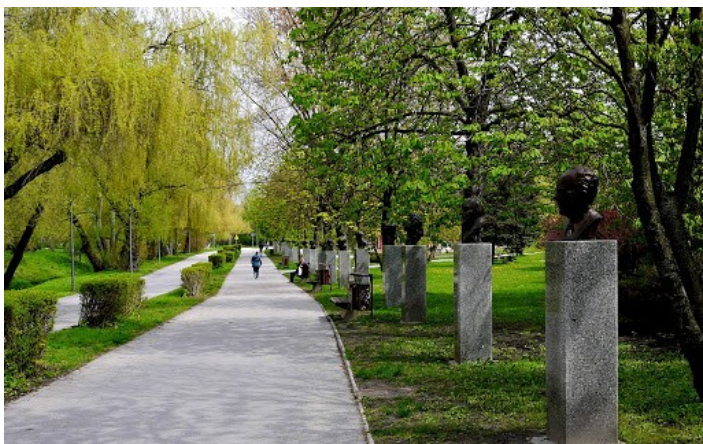
Na warsztatach dowiedzieliśmy się np. które warzywa i owoce mogą dłużej poleżeć w chłodzie, że ze skórek po cytrusach można zrobić

domowy ocet lub jak zrobić ciasteczka z ciecierzycy. Oczywiście czasu na pytania pod koniec nie zabrakło. To znaczy i tak, i nie, ponieważ pytań było tak dużo, że udało się odpowiedzieć tylko na parę z nich, na szczęście na moje dostałem odpowiedzi i zaspokoilem swoją ciekawość. Warsztaty były fantastyczne, a panią Sylwię podziwiam za czas poświęcony na dzielenie się wiedzą z tak dużą liczbą osób. Warsztaty uświadomiły mi jak bardzo można oszczędzić na gotowaniu oraz jak w maksymalnym stopniu dbać przy tym o naszą planetę.

Maciek Skolimowski

KORNISZONA PODRÓŻE MAŁE I DUŻE

KIELCE



Podróże – dla jednych małe, dla innych duże. Jak wiadomo, przez sytuację panującą na świecie dosyć ciężko jest gdzieś wyjechać, tym bardziej za granicę. Mnie udało się trochę pojeździć, głównie po Polsce. W wolny czas w weekendy często wybieram się do różnych polskich miast, gdzie wcześniej wyszukuję ciekawe miejsca lub atrakcje do zwiedzenia. Ostatnio byłam w Kielcach i odwiedziłam tam bardzo interesujące miejsca.

Pierwszym z nich jest Park Miniatur, gdzie na dosyć dużym terenie są rozmieszczone miniatury różnych słynnych budynków. Widziałam tam takie budowle jak dwie wieże World Trade Center, wieżowiec Burj Khalifa, który mieści się w Dubaju, piramidy egipskie czy Sydney Opera House. Miniatury są dobrze odwzorowane, co zrobiło na mnie duże wrażenie.

Następnym miejscem, które odwiedziłam była Kadzielnia. Jest to

jedną z bardziej rozpoznawalnych atrakcji turystycznych Kielc, która mieści się na terenie starego kamieniołomu. Dosyć trudno opisać to miejsce, gdyż jest to po prostu dziura z ekstremalną tyrolką. Każdy może tam znaleźć coś dla siebie, gdyż w sezonie letnim jest tam jeszcze udostępniana do zwiedzenia jaskinia. Miejsce to może być sporym zaskoczeniem, ponieważ znajduje się pośrodku miasta. Kolejnym miejscem, do którego się wybrałam, była Aleja Sław. Znajduje się ona w parku, więc można przejść się spacerkiem i dokładnie obejrzeć wszystkie pomniki. Znajdują się tam takie postacie jak John Lennon, Jimi Hendrix, a z polskich artystów Czesław Niemen.

Cała wycieczka, choć dosyć krótka, bardzo mi się podobała, dlatego, jeśli tylko macie taką okazję, to wyjeżdżajcie i zwiedzajcie!

Martyna Knefel

TENERYFA

Teneryfa to hiszpańska wyspa, jedna z Wysp Kanaryjskich. Jak słyszy się: wyspy kanaryjskie, myśli się raczej o plaży, jasnoniebieskim oceanie i palmie. Teneryfa też to wszystko ma, ale jest o wiele bardziej urozmaicona.

Są tam też góry, wulkan, pustynie, jeziora, baseny, lasy iglaste, kaktusy i wiele innych fantastycznych rzeczy. Po prostu wszystko!

Główne atrakcje wyspy to: Loro Park (takie jakby zoo), Siam Park (super luna-park), gokarty, rejsy, na których można zobaczyć delfiny i wieloryby. Widziałam!, wejście na wulkan de Teide, spacery po plaży, wielu górach, ulicach de La Laguny (najbardziej deszczowej części Teneryfy, ze starymi zabudowaniami, jeszcze z czasów Kolumba), najstarsze drzewo na Teneryfie (ma ok. 1000 lat!). Na Teneryfie jest naprawdę super! Niestety przez koronawirusa nie byłam w Loro Park i Siam Park. Po zobaczeniu zdjęć z Teneryfy mnóstwo naszych znajomych tam pojechało. Przeżyliśmy tam naprawdę wspaniałe przygody. Nie zdążyłam opisać wszystkich i wszystkiego ze szczegółami. Zwiedziliśmy o wiele więcej parków i ogrodów botanicznych. Gdybym miała opisać wszystko to... to... to po prostu nie dałabym rady.

Dopiero na Teneryfie odkryłam jak fajne są gokarty. Mój kolega Antek, który był z nami, miał urodziny i ponieważ on uwielbia jeździć na gokartach, więc to była urodzinowa atrakcja główna. Na początku trudno mi było go wyprzedzić, bo zwalniałam na zakrętach, ale potem przestałam i mi się udawało, nawet raz go wyprzedziłam. Mieliliśmy takie same gokarty, więc jechaliśmy najczęściej obok siebie. Jeremi (mój brat) miał gokarta dla dzieci poniżej 10 lat. Był niepokieszony, gdy my jak wyścigówki przejechaliśmy koło niego. Pocięszaliśmy go tym, że ma ładniejszy kask.

Tylko tam zobaczyłam 20 delfinów wyskakujących z wody naraz. Wszyscy ludzie krzyčeli z radości kiedy delfiny wyskakiwały z wody koło którejś burty lub przed łódką. Skakały w grupkach. Wyskakiwały, a potem najpierw głową wskakiwały do wody, rozbrzygując ją. Wieloryb, którego widzieliśmy, był spory, ale nie jakoś ogromnie wielki. Trochę jak delfin. A może to był delfin ze spłaszczonym pyszczkiem? Bardzo polecam tam się wybrać.



wyjątkowe przedstawienie. Raz delfiny wpłynęły pod łódkę bo był to katamaran (łódka na dwóch płozach). Wszyscy pobiegli na dziób i patrzyli. Potem staliśmy cali mokrzy bo łódka zaryła w fale, ale byliśmy też szczęśliwi bo delfiny skakały nam przed nosem. Z wulkanu Teide są precudowne widoki. Jest tam mnóstwo skał, na które można się wspinać. Ja jestem wielką fanką wspinaczki i bardzo mi się tam podobało. Gdy wejdziesz się dość wysoko, można zobaczyć wspaniałe widoki na chmury, niebo, góry i skały. Dojechać można gondolką (jeśli ktoś lubi się huśtać, to polecam). Mojej mamie nie do końca to odpowiadało, gdy gondolka kołysała się 30

metrów nad ziemią. Stwierdziłam, że było warto, gdy zasiadłam na szczycie dużej skały.

Wyspacerowałam się na maksa i zobaczyłam dużo super rzeczy. Na Teneryfie jest tak wiele do oglądania. Można zobaczyć mega fajne skaliste plaże z białym, ciemniejszym lub czarnym piaskiem. Plaże na drugim końcu wyspy chowają się w cieniu gigantycznych klifów Los Gigantes. A gdyby na największe drzewo na Teneryfie dało się wspinać, to byłoby po prostu jak w raj. A woda nie jest tak słona jak w większości oceanów i naprawdę bardzo fajnie się pływa. Raz gdy nurkowałam, widziałam stado takich małych kolorowych rybek. No i basen... Ups, łatwo się zagłębiam we wspaniałych wspomnieniach.

Jedną z najfajniejszych rzeczy było motylarium. Nie takie badziewie jak w polskich galeriach handlowych, gdzie motylki już prawie zdychają i tak słabo latają, bo nie mają dobrych warunków do życia. To wspaniałe miejsce dla motyli. Rośliny, drzewa, kwiaty, słodkie owoce... To wszystko sprawia, że motyle czują się tam bezpiecznie. Siadają na ludziach i wyglądają wspaniale. A obok są terraria z kokonami, z których co chwila wykluwają się nowe motyle.

Ale oprócz tego jest tam sporo zabytków. Coś, co wygląda jak mniejsza i brzydsza opera w Sydney... Ale jest też taki bardzo stary kościół, który jest już całkiem rozwalony, a najfajniejsze jest to, że znajduje się koło góry, a tuż obok jest ocean i wielki klif. No i bardzo ładny ogródek kościelny.

Nie marudź, tylko jedź!

PSYCHOGÓREK

DEPRESJA WŚRÓD UCZNIÓW JAKO SKUTEK UBOCZNY PRZYMUSOWEJ IZOLACJI

Jak wszyscy wiemy, izolacja od innych osób, szczególnie w przypadku dzieci, nie wpływa najlepiej na nasze zdrowie, samopoczucie oraz relacje z ludźmi. A jak wiadomo, w dobie pandemii bardzo trudno o świetne relacje z innymi ludźmi, rządy wprowadzają obostrzenia, ograniczając nasze kontakty, możliwość wyjścia z domu lub po prostu miłego spędzenia czasu poza domem. Taka przymusowa izolacja bardzo działa na naszą niekorzyść, powoduje u nas rozwój chorób psychicznych, a na czele tej tabeli jest dobrze nam znana – depresja. To ona podczas pandemii zaczęła zbierać coraz większe żniwo. O samej depresji nie będę bardzo szczegółowo pisać, ponieważ jest to obszerny temat. Żądnych większej wiedzy odsyłam do filmu emce (youtuberki popularnonaukowej), który dotyczy właśnie depresji. A wracając do naszego tematu, niektórzy mają szczęście, ponieważ utrzymują stały kontakt z przyjaciółmi, nie tylko przez sieć, ale o takie żywe relacje teraz trudno. Jesteśmy przyzwyczajeni do regularnego widywania się w szkole, na pracy, na uczelni, lub po prostu w parku czy w kinie. Takie nagłe odizolowanie od ludzi, również tych bliskich, powoduje u nas pewne uczucie braku jakiejś ważnej rzeczy, która budzi w nas radość. Może to prowadzić w najgorszym przypadku właśnie do depresji. Ważne jest więc, żeby dbać o nasze relacje z innymi ludźmi, unikać stresu oraz utrzymywać zdrowy tryb życia, aby uniknąć tej choroby. Więc dbajcie o siebie, a jak coś się będzie działo, nie wahajcie się zgłosić to bliskiej osobie i nie bójcie się wizyty u lekarza.

Maciek Skolimowski



Fot. Kasia Barczewska

KORNISZONOWA KISZONKA COOLTURALNA QUEEN



Ostatnio miałam przyjemność obejrzeć film z 2018 roku „Bohemian Rhapsody” w reżyserii Bryana Singera. Jak już po tytule można się domyślić, jest on związany z zespołem Queen. Choć ten film bardzo mi się spodobał, nie o tym chcę dziś napisać. Pragnę przedstawić krótką historię i ciekawostki o zespole. Jak wiadomo, ta grupa muzyczna nosi nazwę Queen i jest jednym z rockowych zespołów z Anglii. Jeśli nie kojarzycie nazwy, to spokojnie, bo pewnie nawet nie wiecie, ile razy śpiewaliście piosenki Queen nie wiedząc, że to właśnie ich utwory. Spójrzmy chociaż na „We are the champions”, czyli po prostu must have na wszystkich wydarzeniach sportowych albo „We will rock you”, którego melodię zna każdy. Zespół został założony w 1970 roku przez Briana May’a, Rogera Taylora i Freddiego Mercury’ego, a basista John Deacon dołączył do grupy rok później. Muzyka Queen jest bardzo różnorodna, gdyż możemy w ich wykonaniu usłyszeć zarówno piosenki rockowe (w różnych odmianach rocka) jak i pop. Jednak wydaje mi się, że jedną z najbardziej charakterystycznych cech muzyki tego zespołu są harmonie



wokalne, które można usłyszeć choćby w „Somebody to love”. Jednakże największym hitem Queen jest „Bohemian Rhapsody” utwór skomponowany przez głównego wokalistę Freddiego. Jest on mieszanką wielu gatunków i brzmień, zaczynając od wspomnianych wcześniej harmonii po rock i pop oraz popisowe solo gitarowe w wykonaniu Briana. Zespół charakteryzują również nietuzinkowe stroje oraz świetny kontakt z publicznością, który, myślę, przy graniu koncertów jest jedną z najważniejszych rzeczy. Na każdym ich koncercie na żywo publika jest zaangażowana w występ prawie tak mocno jak sami artyści. Freddie miał piękną i unikalną barwę głosu, lecz jak zawsze wszystko co dobre szybko się kończy. Farrokh Bulsara (bo tak brzmi jego prawdziwe nazwisko) zmarł na AIDS 24 listopada 1991 roku. Jego śmierć dotknęła wszystkich na całym świecie. Niecały rok później, bo 20 kwietnia 1992 roku, został zorganizowany koncert upamiętniający twórczość artysty – The Freddie Mercury Tribute Concert. Jednak to nie koniec! Dwóch członków zespołu (Brian i Roger) nadal koncertują ze wspnianym Adamem Lambertem, finalistą amerykańskiego programu „Idol”. W 2022 odbędzie się ich kolejna trasa koncertowa, która na pewno będzie totalnym odlotem!



Martyna Knefel 11



„Proces Siódemki z Chicago”

Netflix tylko w 2020 roku wydał kilkadziesiąt filmów sygnalnych szyldem „Netflix Original”. Niestety, ilość zwykle nie idzie w parze z jakością i streamingowy gigant nie jest wyjątkiem.

Jednakże w dziesiątkach zlewających się w szarą masę, podobnych i nieciekawych produkcji czasami udaje się znaleźć film dobry, a nawet bardzo dobry. I „Proces Siódemki z Chicago” zdecydowanie jest takim właśnie filmem.

W 1968 roku, gdy działania wojenne prowadzone w Wietnamie zaczęły się coraz bardziej zaostrzać, przeciwko konfliktom zbrojnym stanęła liczna grupa wywodzących się z różnych środowisk pacyfistów, których, poza sprzeciwianiem się wojnie, łączyły demokratyczne poglądy, całkowicie odmienne od prezentowanych przez panującego ówczesnie prezydenta Nixona (republikanina).

Tytułowa siódemka z Chicago należy do takiej właśnie grupy osób chcących zakończyć wojnę w Wietnamie. W tym celu wyjeżdżają do Chicago, aby zorganizować protest w trakcie Krajowej Konwencji Demokratycznej. Jednak pokojowy w założeniach strajk szybko przeradza się w brutalne starcie z policją, a bohaterowie stają przed sądem. I wokół procesu oraz poczyną sędziego, starającego się pozbawić wolności protestantów z uwagi na ich „niepoprawne” poglądy, toczy się fabuła filmu. Po krótkim wstępie, stanowiącym początkową ekspozycję, *Proces...* przechodzi w niezwykle interesującą, wielowątkową opowieść.

Sednem filmu są dialogi, które stanowią na (moje) oko jakieś 80% całości. Tak przegadana produkcja, z bohaterami, którzy używają dosyć oficjalnego języka (w końcu to sąd), mogłaby być nudna, gdyby nie jeden drobny szczegół, po którym można odróżnić dobry film od słabego. To, jak historia została opowiedziana.

Wyobraźcie sobie scenę z teraźniejszości (sądu), w której prokurator przepytuje świadka. Proste, nie? Ta jedna scena wymieszana jest z retrospekcją rozmowy świadka z oskarżonym, natomiast informację o tym, jak przebiegał protest, otrzymujemy z perspektywy Abby’ego Hoffmana, jednego z członków siódemki z Chicago, który w pewnych momentach przejmuje rolę narratora. Jego wypowiedzi pochodzą z show na wzór standupu, które będzie prowadził w przyszłości.

Połączenie trzech różnych wydarzeń, w dodatku odbywających się w różnych czasach (teraźniejszość, przeszłość i przyszłość) wydaje się karkołomne, jednak... udało się. Tak samo jak w *Incepcji*, kluczowy okazał się montaż. To dzięki niemu mimo zawikości narracji nie gubimy się co chwile w fabule, a po zakończeniu seansu wiemy, co dokładnie wydarzyło się w filmie. A dzieje się tam wiele rzeczy, bo *Proces Siódemki z Chicago* porusza masę wątków w zaledwie trochę ponad dwie godziny. Intrygi ludzi władzy, wojna w Wietnamie, sposób działania protestów, nadużycia policji, rasizm czy nienawiść wobec osób o innych poglądach – te wszystkie motywy zostają nie tylko omówione, ale również prowadzą do ciekawych konkluzji. Zwykle próby wrzucenia do scenariusza wszystkiego prowadzą do tego, że film jest o wszystkim i o niczym, lecz w tym przypadku skończyło się inaczej. Ba, znalazło się tu nawet miejsce na kilka udanych i zabawnych



żartów, które, dodatkowo urozmaicając całość, nie wybijają jednak widza z jej ponurego, dramatycznego tonu.

Myslę, że podczas oglądania warto skupić się na jednym, przerażającym aktualnym motywie – jak wyglądają protesty i do czego prowadzi władza nie słuchająca obywateli. W obliczu Strajku Kobiet, czy protestów BLM nie sposób nie zwrócić uwagi na ironię losu. Film miał premierę w październiku 2020 roku. Roku, który upłynął nie tylko pod znakiem koronawirusa, ale również pod znakiem strajków przeciwstawiających się działaniom władz. *Proces...* nie tylko pokazuje protesty (w dodatku przeciw konserwatom, tak jak obecnie), ale również przedstawia działania policji czy sądów, które podyktowane są przez panujący rząd. I to, jak ta historia przez 52 lata zatoczyła koło, jest nie tylko ciekawe, ale również przerażające.

Czy więc *Proces...* ukazuje protestujących jako jednowyślnie dobrych, niezależnie od tego, co robią? Nie, scenariusz w żadnym wypadku nie popiera wandalizm czy brutalnych zachowań, do których dochodzi na protestach. Film stara się jedynie udowodnić, że sądy powinny być sprawiedliwe i niezależne, a dobrze przeprowadzone protesty są zjawiskiem pozytywnym.

Pomimo zachwytów, w filmie znajduje się parę rzeczy, które mnie za bardzo nie przeszkażają, jednak niektórzy potencjalni widzowie mogą zdecydować o odpuszczeniu sobie seansu po tym, co napiszę. Przede wszystkim *Proces...* nie jest filmem historycznym. I nie mam na myśli jedynie tego, że nie przedstawia prawdziwych wydarzeń, bo pomimo wkradającej się gdzieś fikcji jest to historia zaskakująco spójna z faktami. *Proces...* w żadnym momencie nie sili się na obiektywizm czy spojrzenie na wydarzenia z różnych perspektyw. To typowo hollywoodzki dramat, którego celem jest ukazanie problemów społecznych w przystępnej, lecz niekoniecznie prawdziwej formie. To trochę jak kanały popularnonaukowe na YouTube – niby można się czegoś nauczyć, ale szkoły i nauczycieli to nie zastąpi.

I nie podoba mi się naiwne zakończenie, o którym jednak więcej napiszę, żeby nie spojlerować.

Jeśli macie dostęp do konta Netflix oraz wolne dwie godziny, a wymienione przeze mnie wady wydają się dla was niewielkie - obejrzyjcie śmiało. Z pewnością mogę stwierdzić, że *Proces Siódemki z Chicago* to jeden z najlepszych netflixowych filmów, jaki kiedykolwiek oglądałem.

Szymon Kornacki

„Chemical Hearts”

Ostatnio, po założeniu konta na video prime, w oko wpadł mi film o tytule *Chemical Hearts*, stworzony poprzez Amazon Studio, a napisany, wyprodukowany i wyreżyserowany przez Richarda Tanne’a. Film jest ekranizacją powieści Krystal Sutherland pt. *Our Chemical Hearts* (w polskim przekładzie: *Chemia serc*), a jego premiera miała miejsce 21 sierpnia 2020 roku.

W rolach głównych gra Lili Reinhart jako Grace oraz Austin Abrams jako Henry. Są dwójką nastolatków, którzy zaczynają pisać do gazetki szkolnej. Dziewczyna jest zamkniętą w sobie osobą po przeżyciach. Porusza się przy pomocy laski, czego przyczyną jest wypadek samochodowy, który miał negatywny wpływ na jej życie. Chłopak jest dobrym uczniem, ma „idealną” rodzinę i świetnych znajomych, ale mimo to czuje, że brakuje mu czegoś w życiu. Spotykają się z Grace przypadkiem. Z początku nie dogadują się dobrze, lecz z czasem dziewczynie udaje się zburzyć mury, zbudowane przez ostatnie miesiące. Stopniowo dowiadujemy się o mrocznych szczegółach z życia bohaterki. Mimo wszystko dziewczyna próbuje ruszyć naprzód i zostawić przeszłość za sobą. Czy uda jej się to, czy też dogonia ją demony przeszłości? Przekonajcie się sami!

Osobliście film urzekł mnie od razu. Tematyka radzenia sobie z traumą, połączona z problemami nastolatków, rodzi interesującą kombinację zdarzeń. Film jest przeznaczony dla starszych widzów. W każdej scenie daje się odczuć napięcie między bohaterami. Film jest emocjonujący i wzruszający. Uważam, że aktorzy wyśmienicie wczuli się w role, pomimo że prywatnie są ich totalnym przeciwieństwem. Jest to jeden z moich ulubio-



nych filmów. Polecam każdemu, kto potrzebuje chwili oddechu od codziennego pędu.

Jednym z tematów poruszonych w filmie jest to jak ciężko jest nastolatkom dogadać się z dorosłymi, temat dobrze znany nam wszystkim. Większość z nas miewa chwile zwątpienia czy smutku. Ekranizacja wspólnie oddaje, jak wygląda życie młodych ludzi od ich strony.

Chcę polecić ten film zarówno młodzieży, jak i dorosłym, dla których może on być idealną okazją do poznania swoich dzieci. Oczywiście nie każdy ma takie problemy, jak te w nim przedstawione, ale cały czas duża część naszego pokolenia zmaga się z podobnymi trudnościami.

Zuzanna Chyła



„Niewidzialne życie Addie LaRue” V.E. Schwab

Podczas kwarantanny szukałam książki, która przywróci mi ochotę do czytania. Natrafiłam na książkę „Niewidzialne życie Addie LaRue” autorstwa V.E. Schwab. Należy ona do gatunku fantastyki historycznej. Jest pozycją dość nową, bo premierę w Polsce miała w lutym tego roku. Akcja zaczyna się w roku 1714 we Francji. Młoda dziewczyna o imieniu Adeline ucieka przed ołtarza i zawiera pakt z diabłem imieniem Luc. Może żyć wiecznie, ale pod jednym warunkiem – nie jest w stanie być przez nikogo zapamiętana. Każdego roku diabeł wraca do niej z pytaniem, czy jest gotowa oddać mu duszę. Minie trzysta lat, zanim Addie znajdzie w Nowym Jorku księgarnię, w której pozna kogoś, kto zapamięta jej imię. Książkę, pomimo jej 600 stron, czyta się bardzo szybko, gdyż jest napisana językiem idealnym dla młodzieży. Ciekawym elementem jest czas akcji – obejmuje on ponad trzysta lat, a pomimo to łatwo się w nim odnaleźć. Podobał mi się również podział na części i rozdziały – każdy rozdział obejmował inny dzień. Przez całą książkę przewija się wątek sztuki, każda część zaczyna się prezentacją i opisem innego dzieła. Moją ulubioną rzeczą w książce jest jednak jej niepowtarzalny klimat – tajemniczy, a jednocześnie bardzo przytulny, ciepły. Zmienia się z każdym miejscem, które odwiedza Addie. Główna bohaterka to osoba bardzo empatyczna, a także autentyczna. Nawet mimo tego, ile przeżyła, nadal popelnia



błędy i uczy się przystosować do współczesnych realiów. Jest sprytna i inteligentna, pokazuje, że niezależnie od sytuacji można zmienić bieg historii. W powieści znajdziemy dużo ponadczasowych wartości, takich jak przyjaźń czy miłość. Motyw walki o ukochaną, choć używany przez wielu autorów, tutaj jest bardzo dobrze i w unikalny sposób wyeksponowany. Addie z jej ukochanym poza miłością łączy nierozdzielna przyjaźń, która przez cały czas akcji utworu zostaje wielokrotnie wystawiona na próbę. Ich motywacja może być przykładem dla wielu młodych osób.

Rzeczą najbardziej chwytającą za serce jest zakończenie. Doprowadziło mnie ono do łez, tak bardzo zżyłam się z bohaterami. Pomimo że książka ma oficjalny koniec, autorka pozostawia nam miejsce na wyobraźnię. Każdy może dopowiedzieć sobie swoje własne zakończenie. Książka jest godna polecenia dla wszystkich nastolatków, a szczególnie dla miłośników fantastyki czy sztuki. Na pewno zostanie ze mną na dłużej, bo nawet po kilku miesiącach od jej przeczytania nadal nad nią rozmyślam.

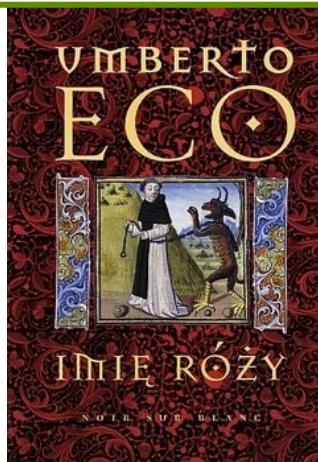
Sylwia Kuroczycka

Z tragedii w komedię - „Imię Róży” Umberto Eco

Znaczna część liceów jest nazywana imieniem wybranego patrona i to głównie właśnie przez nich się szkoły rozpoznaje. Logicznie można by założyć, że dziedzina zainteresowania patrona będzie przedmiotem wiadcym w danym liceum, jednak często ta logika nie ma zastosowania w praktyce. Szczególnie zabolalo to chyba polonistki z mojej szkoły, noszącej imię znanej pisarki i psycholożki, w której to szkole jednak nie ma żadnej klasy humanistycznej z rozszerzonym polskim. Nauczycielki, przypadkowo lub umyślnie wspólnie, stwierdziły zapewne, że jedynym sposobem na rozwiązanie tego problemu będzie realizacja materiału rozszerzonego we wszystkich klasach. Jest to oczywiście ciężkie dla ścisłych umysłów uczniów, ponieważ większość z nas widziała tę szkołę przez pryzmat „każdy profil ma rozszerzoną matematykę, więc musi być to szkoła bardziej ścisła!”.

Jednak każda polonistka w naszej szkole, niezależnie od wieku czy klas, które uczy, rozszerza polski. To co piszę nie jest jednak echem zwykłego narzekania uczniów, na trudny materiał, ale stwierdzeniem faktu. Mamy podręczniki z napisem *rozszerzenie* i przerabiamy podobną ilość materiału jak pierwszoklasiści z humana w innych szkołach. Był taki szczególny przypadek, gdy przerabialiśmy książkę *Imię Róży*. Nie ma jej w spisie lektur obowiązkowych, nawet na rozszerzeniu. Jak pani zapowiadała tę książkę i dawała datę przeczytania, raczyla się także wypowiedzieć o tym jak pięknie Umberto Eco ją napisał i jak bardzo kocha jego twórczość. W pewnym momencie do monologu włączyła się jedna z ulubionych uczennic naszej polonistki i we dwie zachwycaly się jednym jego twórczości.

O konieczności przeczytania lektury sama zapomnialam (trochę specjalnie, bo bylam zniechęcona jej siedmiuset stronami), więc dzień przed terminem wzięłam się za oglądanie filmu. Trwający dwie godziny kryminał sprzed tysiąca lat nie wchodzi jednak do głowy tak łatwo jak mi się wydawało, więc musiałam rozłożyć ten seans na dwa razy, a wizja oglądania drugiej połowy na lekcjach przed polskim wydawała



się wspaniała. Sam film niezamierzenie spowodował u mnie niemałe rozbawienie. Nie wiem czy była to kwestia późnej godziny, czy wszystkich zapewnień bohaterów o ich heteronormatywności, przeplatanych pocałunkami mężczyzn w usta na przywitanie. Chociaż trzeba przyznać, że w tym kontekście same pocałunki nie były tak złe jak „słabości starszych pastorów do młodych chłopców”. Odpalając psychoanalitka, żadna z relacji spośród bohaterów nie była na zasadzie „jak równy z równym”. We wszystkich ktoś albo pełnił rolę mentora, albo nieświadomie wyzyskiwał drugą osobę, albo świadomie działał na jej niekorzyść. Z tego po-

wodu oglądając film jesteśmy świadkami bezpodstawnych oskarżeń, samobójstwa czy nawet gwałtu. W filmie przedstawionych jest wiele szokujących sytuacji, jednak mnie najbardziej poraziła wymagowana „miłość” między głównym bohaterem – Adso i bezimienną biedaczką. Dziewczyna, by uzyskać środki na przeżycie, sypiała z opatami, a następnie dawała im wołowe serca (nie zdołałam do końca pojąć tego wątku). Adso, starając się przeszukać komnatę jednego z opatów, trafia na dziewczynę i zostaje przez nią uwiedzony. Budzi się jednak sam, oczywiście wraz z wołowym sercem. Kiedy opowiada mentorowi o swojej sytuacji, słyszy w odpowiedzi, że nie powinien się zakochiwać. Nie chcę podważać średniowiecznej wizji miłości, jednak całe jej przedstawienie wzbudza we mnie niemałą odrazę i szok.

Ale na całe szczęście już skończyliśmy omawiać średniowiecze. I choć wartości w nim reprezentowane były co najmniej niewygodne to myślę, że renesans nie będzie łatwiejszy.

Zosia Pietrzak

KULTURA WYŻSZA

Kultura wyższa to nierozłączny element naszego życia. Jej brak lub ograniczony dostęp do niej może na nas wpłynąć negatywnie. Taki efekt miało zamknięcie ośrodków kultury podczas pandemii. To wtedy zauważalne było największe zainteresowanie takimi właśnie miejscami. Gdy mamy ograniczoną ilość opcji, wybieramy to, czego zwykle nie wzięlibyśmy pod uwagę. Podczas epidemii wzrosło na przykład

zainteresowanie muzeami – kiedyś były one uznawane za nudny, nieinteresujący sposób spędzania wolnego czasu, teraz są dość oblegane przez zwiedzających. W czasie lockdownu rozwinął się nowy obszar kultury – zwiedzanie internetowe. Muzea, galerie czy teatry pozwalają obejrzeć wystawy lub spektakle online, bez kontaktu z innymi ludźmi. Podczas całej pandemii można było zauważyć, jak społeczeństwo

reagowało na zamykanie i otwieranie obiektów kultury. Mogę śmiało powiedzieć, że okres zamknięcia wzbudził w ludziach większe potrzeby kulturalne. Odkryliśmy jako społeczność, że potrzebujemy kontaktu ze sztuką, gdyż jest ona miłą odskocznią od życia codziennego, a tego właśnie potrzebujemy w gorszych czasach.

Sylwia Kuroczycka

CO TO JEST DEEPAKE?



Deepfakes nie pojawiły się znikąd, ale przez to, jak szybko zyskały na popularności, nie zdziwię się, jeśli ktoś ma takie wrażenie. Technologia opracowana przez Iana Goodfellowa ujrzała światło dzienne w 2014 roku. Jednakże dopiero w ciągu ostatnich lat sprawy nabrały tempa, a publikacji doczekało się więcej nagrań powstałych z użyciem tej technologii.

A zatem, co to jest deepfake? Deepfake to nagranie lub zdjęcie komputerowo wygenerowanej twarzy dowolnej osoby. Przy użyciu programu do tworzenia deepfakes można nie tylko przenieść twarz jednej osoby na ciało innej, ale również wygenerować całe nagranie, w którym znana osoba zachowuje się w sposób ustalony przez jego twórcę. Jeśli jesteście ciekawi jak to wygląda w praktyce, wpiszcie sobie na YouTube „Tom Cruise deepfake”. Według mnie to nagranie jest w zasadzie nie do odróżnienia od prawdziwego.

Przejdźmy jednak do kluczowego pytania – jak to działa?

Technologia programów do generowania deepfakes oparta jest w dużej mierze nie na twórczości człowieka, a na działaniu sztucznej inteligencji. Aby umiała ona określić jak wygląda ludzka twarz, trzeba ją tego najpierw nauczyć, a proces ten określany jest nazwą *deep learning* czy też *uczenie maszynowe*. Program do tworzenia deepfakes musi najpierw dostać dane na temat wyglądu danej osoby. Im więcej plików ze zdjęciami i nagrańmi mu dostarczymy, tym bardziej fałszywa twarz będzie wyglądać na prawdziwą. Gdy nauczymy program wyglądu danej twarzy – kształtu i umiejscowienia brwi, rozmiaru ust, koloru oczu i innych tego typu detali, możemy przystąpić do tworzenia właściwego deepfake.

Teraz wystarczy, że do programu wyeksportujemy nagranie z naszą mimiką, na podstawie której powstanie deepfake. Twarz powstała w ten sposób będzie poruszać się tak samo jak nasza (albo innej osoby, która użyczy nam swojej mimiki), jednak wszystko poza mimiką (czyli sam wygląd) będzie wygenerowane w całości przez komputer, tak, aby nagranie wyglądało na prawdziwe.

Wobec faktu, że wygenerowane komputerowo twarzy nie da się odróżnić od prawdziwej, pojawiają się uzasadnione obawy. Czy tym

razem naukowcy nie posunęli się odrobinę za daleko? Stworzony przez nich program umożliwia przecież nie tylko powstawanie śmiesznych (względnie) filmików z twarzami znanych osób wypowiadających zabawne kwestie, ale również tworzenie fałszywych nagrań, które mogą postawić ludzi w niekorzystnym świetle i działać na ich szkodę. Jestem przekonany, że z czasem będzie się pojawiać coraz więcej takich nagrań, na przykład z politykami mówiącymi coś, co niekoniecznie powinni powiedzieć. Czy da się to jednak jakoś powstrzymać? Mówiąc wprost, czy istnieje sposób na rozpoznanie fałszywego nagrania?

Odpowiedź na drugie pytanie jest na szczęście zdecydowanie twierdząca. O ile ludzkie oko jest dosyć zawodne w tej kwestii (choć przy odpowiednim treningu można nauczyć się całkiem sprawnie rozpoznawać fałszywe nagrania – jeśli jesteście tym zainteresowani wejdźcie na detectfakes.media.mit.edu; ja sprawdziłem siebie i nie byłem zbyt precyzyjny, ale wam może pójdzie lepiej), to tam, gdzie człowiek nie może, zastąpi go maszyna. A konkretniej, sztuczna inteligencja.

I znowu wracam do tematu uczących się SI. Bo skoro można nauczyć program wyglądu ludzkiej twarzy, to można go również nauczyć, jak wygląda prawdziwe i fałszywe nagranie, aby mógł je od siebie odróżnić. Na przykład, Microsoft w 2020 roku przedstawił swój program do wykrywania deepfakes o nazwie Microsoft Video Authenticator. Paradoksalnie, program taki, poza wykrywaniem fałszywych twarzy, może zostać wykorzystany także do uczenia programu tworzącego deepfakes, w jaki sposób ma tworzyć jeszcze lepsze fałszywe nagrania (powstaje deepfake, MVA wykrywa nagranie jako fałszywe, program do tworzenia deepfakes uczy się, jak stworzyć twarz trudniejszą do wykrycia).

A jakie są zalety tworzenia takich nagrań? Ich wady, czy raczej związane z nimi niebezpieczeństwa, są dość oczywiste, ale z określeniem zalet tworzenia sztucznych twarzy miałem niemały problem. Po dłuższym zastanowieniu doszedłem jednak do wniosku, że plusy zdecydowanie istnieją i są niemałe.

Przed wszystkim – kino i gry komputerowe. O ile wysokobudżetowe produkcje raczej nie zrezygnują o tak z zatrudniania aktorów, to dla bardziej niszowych produkcji fotorealistyczne modele twarzy wydają się całkiem ciekawą alternatywą, nieraz zapewne łatwiejszą niż szukanie pieniędzy na sfinansowanie. Podobnie jest z grami – kto przynajmniej raz w życiu zagrał w RPG albo inną grę akcji z otwartym światem, ten wie, że twarze postaci niezależnych potrafią być naprawdę podobne albo wręcz identyczne. Tworzenie unikalnych postaci w grach jest zajęciem czasochłonnym, a przede wszystkim kosztownym. Jednak co by się stało, gdyby wszystkie twarze wygenerował komputer, bez ingerencji człowieka?

Wtedy wychodzi nam coś takiego jak thispersondoesnotexist.com, czyli dość ambitny projekt Philipa Wang, opierający się na założeniu, które znamy już z innych deepfakes: generowaniu przez sztuczną inteligencję modeli twarzy. Owa strona generuje nową, nieistniejącą twarz za każdym razem, gdy ją odświeżymy. I możemy ją tak odświeżać i odświeżać przez całe życie, a za każdym razem wyjdzie nam inna osoba. I faktycznie, to działa – pomimo że czasami na zdjęciach pojawiają się dziwne artefakty albo nawet oczywiste błędy, to jednak puła twarzy jest naprawdę zróżnicowana, nie jest to po prostu generowanie obiektów na podstawie gotowych grafik, a wytworzony w czasie rzeczywistym nowy model twarzy. I jest to niezmiernie imponujące.

Nie wiem, czy deepfakes w najbliższej przyszłości zawładną komercyjną częścią świata i wyjdą poza sferę ciekawostki. Może faktycznie zagrożenia związane z ich użytkowaniem okażą się prawdziwe, jednak bez wątplenia warto obserwować rozwój tej technologii, bo choć jeszcze nie zrealizowała swojego potencjału, to jest jej do tego niedaleko.

Szymon Kornacki

WALKA JOSH'ÓW

Pewnie sporo z was słyszało o tej walce, ale być może niektórzy nadal nie wiedzą o tym legendarnym starciu, które Ameryka zapamięta na długie lata. Zwracam się więc do tych, którzy nie słyszeli. Historia jest taka. Dokładnie 24 kwietnia 2020 roku Amerykanin Josh Swain zauważył, że sporo osób dzieli z nim to samo imię i nazwisko, dlatego dodał ich wszystkich do grupowego czatu na messengerze i przekazał im wiadomość następującej treści (tłumaczenie dosłowne):

„Dokładnie 24/03/2021, 12:00, spotkamy się na tych koordynatach (40.8223286, -96.7982002) i walczymy, ktokolwiek wygra, zatrzymuje imię, wszyscy inni mają zmienić swoje personalia, macie rok na przygotowania, powodzenia”

Internet oraz adresaci tej wiadomości wzięli to za żart, a nawet sam autor wiadomości stwierdził, że był to żart spowodowany nudą, związaną ze znanym każdemu z nas lockdownem.

Lecz ostatecznie do walki naprawdę doszło, wszyscy walczyli przy użyciu piankowych maka-

ronów. Ale zanim się ona rozpoczęła, miało miejsce inne starcie, a mianowicie między Joshem Swainem, organizatorem oraz... Joshem Swainem! Starcie nie było niczym innym, jak grą w „papier, kamień, nożyce”. Ostatecznie walkę wygrał Mały Josh, pięcioletni Josh Swain. W nagrodę dostał tytuł jedynego prawdziwego Joshua, sztuczny pas mistrzowski, koronę z Burger Kinga i mały puchar. Walka była naprawdę zacięta.

Maciej Skolimowski

SPORTY, KTÓRYCH MOŻE NIE ZNACIE



w którym są profesjonalni trenerzy, zawody i zajęcia dodatkowe. W Finlandii istnieją nawet obozy na które przyjeżdża się z własnym „koniem”. U mnie na osiedlu jeżdżą już 4 dziewczyny. Ich konie nazywają się Livio, Leo, Despair (czytaj Despir) i Darling. Mnie mama uszyła konia z koszulki, patyk znalazłam na dworze, a uszy i oczy ma z filcu. Nazywa się Patyczak. Jeśli ktoś z was jeździ na koniach, to wie, że można galopować na dwie nogi. Czyli robić tak, żeby koń zmienił przednią nogę w trakcie galopu. W hobby horsing też jest coś takiego. Skacze się przez przeszkody i jest coś takiego jak taniec konia. Podnosi się tak nogi pod takim kątem jak końska noga. Robisz mniejsze i większe kroczki.

A więc na konia i przed siebie!

AGILITY

Jeżeli ktoś ma psa, z którym chce spędzać więcej czasu to proszę przeczytać. Agility to sport dla psa i człowieka. Człowiek biega z psem i pokazuje mu gdzie ma biec, skakać, wchodzić. Piesek biega i przechodzi przez tunele, skacze przez przeszkody i chodzi po kładkach. Ja dowiedziałam się o tym sporcie z gazetki „Kosmos dla dziewczynki” (polecam dziewczynom). Zafascynowałam się i z moim pieskiem, dwuletnią rudą Szirą rasy Cavalier zaczęłyśmy ćwiczyć w mieszkaniu. Gdy z moim bratem byliśmy mali, dostaliśmy tunel, który przypomina ten do agility. Mój brat na urodziny dostał takie duże klocki, z których robię przeszkody. Oprócz tego wykorzystuję krzesła i inne domowe przedmioty. Można zaczynać tak jak ja, jeśli ktoś nie ma czasu lub pieniędzy na kurs. Nie trzeba mieć jakieś najładniejszej rasy.



Pudelki, których nikt nie podejrzewa o jakąś specjalną mądrość, idą na tor i super się spisują. A potem grzecznie wracają do domu na kanapę. Przewiduję Szirze wielką przyszłość, chociaż jej rasa nie zalicza się do tych najładniej zapamiętujących sztuczki.

Łucja Angier

HOBBY HORSING

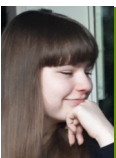
Hobby horsing to sport, który narodził się w Finlandii na początku lat dwutysięcznych. Ma on przypominać jazdę konną. Jeździ się na patyku zakończonym końską głową. Nie prawdziwą, a pluszową. Konik na patyku znany jako dziecinna i przestarzała zabawka jest rekwizytem sportu,

MOJA PASJA TANIEC

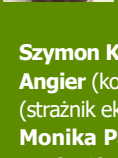
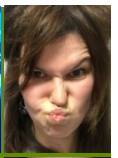
Taniec. Jest to dosyć ogólne słowo, gdyż taniec może oznaczać bardzo dużo różnych rzeczy. Dla jednych będzie nim zwykłe ruszanie się w rytm muzyki na dyskotecce, lecz dla innych może to być występ profesjonalnych tancerzy na zawodach. Jednak wszystko to sprowadza się do jednego – tańca. Rodzajów czy odmian tańca jest wiele i ja zdecydowałam się na disco dance, znany też jako taniec nowoczesny. W sumie nie ja zdecydowałam, bo gdy byłam mniejsza moi rodzice zapisali mnie na zajęcia i tak jakoś zostało. Disco dance to nazwa, która na pozór może kojarzyć się z jakimiś dyskotekami, lecz nic bardziej mylnego. Ten rodzaj tańca to bardzo energiczne ruchy, liczące wiele skoków lub przeskoków. Tancerze muszą mieć bardzo dobrą kondycję, a także muszą być rozcią-

gnięci. W tańcu nowoczesnym rywalizuje się głównie w formacji, mini, duetach i solo ale to oczywiście zależy też od turnieju. Jest on znany z charakterystycznych kolorowych strojów, mieniących się tysiącami kamieni. Disco jest znane w wielu krajach, oprócz Polski głównie na Ukrainie, Białorusi czy Słowacji. Aby tancerze byli coraz lepsi, w wakacje organizuje się obozy, a w trakcie roku warsztaty z różnymi trenerami w celu nabycia nowych umiejętności i wyćwiczenia różnych układów. Disco dance to dość specyficzny taniec i nie wszystkim przypada do gustu, jednak u mnie w życiu odgrywa on dużą rolę i nie wyobrażam sobie życia bez niego!

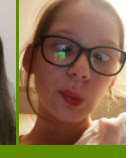
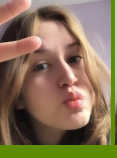
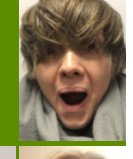
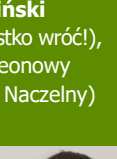
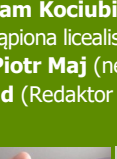
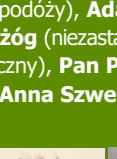
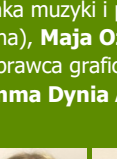
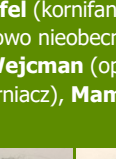
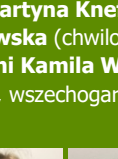
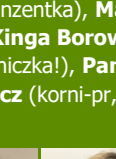
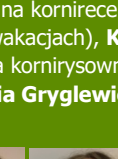
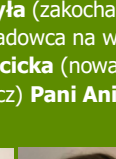
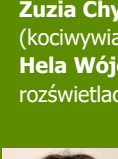
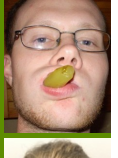
Martyna Knefel



Winni powstania tego numeru: (przeciwnie do ruchu wskazówek zegara)



Szymon Kornacki (kornipsycholog, redaktor multitematyczny), **Zosia Radecka** (młoda aktywistka i miłośniczka koni) **Łucja Angier** (kornipodróżniczka z wena), **Sylwia Kuroczycka** (pozytywny motywator i książkowy recenzent), **Zofia Pietrzak** (strażnik ekologii i książkowy recenzent), **Maciej Skolimowski** (kornipsycholog i aktywny wolontariusz), **Oliwia Grądział**, **Monika Pawłowska** (nowe korniwrózki już na wakacjach), **Katarzyna Marecka** (korniredaktorka chwilowo bez weny), **Zuzia Chyła** (zakochana kornirecenzentka), **Martyna Knefel** (kornifanka muzyki i podóży), **Adam Kociubiński** (kociwywiadowca na wakacjach), **Kinga Borowska** (chwilowo nieobecna), **Maja Ożóg** (niezastąpiona licealistko wróć!), **Hela Wójcicka** (nowa kornirysowniczk!), **Pani Kamila Wejman** (oprawca graficzny), **Pan Piotr Maj** (neonowy rozświetlacz) **Pani Ania Gryglewicz** (korni-pr, wszechogarniacz), **Mamma Dynia Anna Szwed** (Redaktor Naczelny)



I TY MOŻESZ ZOSTAĆ KORNISZONEM! ZAPRASZAMY! Zajęcia redakcyjne w MDK Ochota: wtorki i czwartki 17.30-19.00

BALONOWE CUDA, SKOKI I BAŃKI CZYLI DZIEŃ DZIECKA W MŁODZIEŻOWYM DOMU KULTURY „OCHOTA”

Ach cóż to był za fantastyczny dzień. Pełen szczęścia, uśmiechu i tak ważnej i potrzebnej normalności. 1 czerwca po wielu miesiącach po raz pierwszy mogliśmy zaprosić na swoje (dosłownie) podwórko dzieci i rodziców, by wspólnie świętować najweselszy dzień w roku. Dla naszych wychowanków przygotowaliśmy moc atrakcji: ogromniaste bańki mydlane, rozłożyliśmy trampolinę, były skręcane balony, plac zabaw, słodkości i my – nauczyciele MDK, pełni energii do animacji i zabawy. Na całą okolice roznosiła się wesoła muzyka i głośny śmiech dzieci. Dziękujemy za przybycie i wspólny czas dziecięcej bezstroski, a rodzicom za każde dobre słowo.

Anna Gryglewicz

